№ 8. Warszawa, dnia 12 (24) Lutego 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41.

CÓRKA ROLANDA

Dramat w czterech aktach

PRZEZ

Henryka Bornier

przekład Konstantego Goniewskiego.

(Dalszy ciąg).

SCENA IV.

Amaury, Radbert, Berta, Gerald.

Berta.

Jestem więc więźniem waszym. Opuszczając ściany
Waszego zamku hrabio, czy wam nie jest znany
Jaki sposób bezpieczny, by ujść matni wroga?

Amaury.

Nie znam pani żadnego.

Berta.

Zaparta więc droga?

Amaury.

Tak jest. Pozostań z nami. Stać się łatwo może,
Że dom i mnie osłonisz, jako skrzydło Boże.
Śmiem przemówić do ciebie Tobiasza słowami,
Z czcią głęboką i wdzięczną: Anioł będzie z nami!

Berta.

Od pychy lekkomyślnej, niech mię Bóg zachowa,
Lecz żeby godnie spłacić wasze grzeczne słowa
I godną się okazać takiej gościnności,
Starczy moje nazwisko—a jeśli z próżności
Nie mylę się— to na głos sławy tak bezmiernej
Zadrżysz rycerzu Francyi i rycerzu wierny.

Amaury.

Wymień więc to nazwisko.

Berta.

Wielkiego Karola
Siostrzenicę masz we mnie—ma sieroca dola
Datuje od Roncevaux — matkę moją zwano
Piękną księżniczką Audą — mego ojca miano
Roland!

Gerald.

Córka Rolanda!

Amaury.

(cofając się i chwytając za rękę Radberta).

Rolanda!

Radbert.

Potrzeba
Być ci bacznym! truchlejesz!

Amaury.

Sprawiedliwe nieba!
Czy podobna?

Radbert.

Amaury! bądźże panem siebie!
Winieneś być ostrożnym, syn patrzy na ciebie!

Amaury.

(po niejakiem opamiętaniu).

Pani, wybacz wzruszenie i to pomieszanie.
Wielkie imię Rolanda, żołnierz nie był w stanie
Posłyszeć bez wzruszenia, jakie w duszy czuję,
Sama je przewidziałaś—niech pani daruje.

Berta.

Dzięki wam panie hrabio — Geraldzie dziękuję.
Niech ma godność w przyjęciu, swobód nie krępuje.
Nawet obok cesarza, zwykłam w spokojności
Tylko szczęście znajdować—szukać samotności.
Ja chcę u was być Bertą, takie imię noszę.

Amaury.

Geraldzie—ze słów jeńca wyrzeczonych wnoszę..
Lecz nie... hordy Saksonów, wbrew jego twierdzeniu
Mogą na zdobycz murów uledz pokuszeniu,
Niech się odważą rzucić na wieżę lub wały,
Na mnie kolej pierwszemu, stawić pierś na strzały.
Geraldzie, ty się nie trwóż, zgubnym dla mnie gro-
[tem,
Tu jedna Berta pieczy i trwogi przedmiotem.
Jeśli nawet śmierć szczytną, znajdę w jej obronie,
Jeśli u stóp jej legnę, nie płacz po mym zgonie.
A teraz na okopy! Osadnicy moi
Poddani, każdy zbrojny, niech gotowy stoi
Na pierwsze hasła trwogi. Niech straż nocna uchem
Chwyta z ziemi najlżejszy szelest, bacznym słu-
[chem.
Ty podwój przednie czaty z najlepszych żołnierzy!
Lecz ta powinność raczej do mnie przynależy.
Ty Geraldzie tu zostań, w honorowej straży.

Gerald.

Dzięki ojcze! Bóg może szczęściem mię obdarzy
I znowu mi otworzy pole ku spłaceniu
Długu Francyi, wielkiemu Rolanda imieniu,
Jakie żywię nadzieję. Jeszcze dzieckiem małem
Jam znajdował — wybacz mi — że z ust twych sły-
[szałem
Nie dość często to imię — ja, razy miliony
Powtarzałem je sobie. Roland był wzniesiony
Po nad wszystkich rycerzy, był mi ideałem.
Zdało się, ja tę dumę do dziś przechowałem,
Że nas jakaś moc zbliża. Snami kołysany
Jam wierzył, że z nim żyję, że on jest mi znany,
Że go kocham, że śladem jego wielkich czynów,
I jego chwały świetnej, biegnę do wawrzynów
I na polach Roncevaux, jak on, w boju ginę.
Ach! ty słusznie mówiłeś, to dziecko jedyne
Jego córkę — obronim! boć w naszej rodzinie

Ni pod twym dachem ojcze, ni w służby drużynie
Jej, nie grozi Ganelon!

Amaury.

(do Radberta).

To ciosy zabójcze!
Uchodźmy ztąd... uchodźmy!

Gerald.

Żegnam cię mój ojcze,
Tu na nogach do ranka, czuwać będę okiem
Nad powolnym czy nagłym nieprzyjaciół krokiem.
Syn twój, córce Rolanda zapewni schronienie!

SCENA V.

Gerald, Berta.

(Gerald stoi na galeryi z okiem zwróconem ku Renowi i dolinie. Berta patrzy za odchodzącym Amaurym, poczem wzrok swój zatrzymuje czas jakiś niewzruszenie na Geraldzie — w końcu, przechodzi przez salę powolnym krokiem i zatrzymuje się przed stołem, na którym spostrzega grę w cnoty).

Berta.

Ach! gra w cnoty!... Ta gra mi przywodzi wspo-
[mnienie
Jak Karol Wielki często, gdy wieczór zapada,
Berto—rzecze: weź tę grę, niech twa ręka zbada
Jakie nam los na dzisiaj cnoty podyktuje
I kto z nas je szczęśliwiej w czynie zastosuje?

(bierze kubek i porusza kostki).

Jest to gra i nic więcej, przecież w nią zabawa
Dobre i bardzo dobre natchnienie nam dawa:
Sprobójmy.

(wyrzuca kostki, poczem, czyta na szachownicy).

„Działaj szczerze z sobą i z drugiemi."
To łatwe—takie rady, mniej są potrzebnemi.

(czyta następnie).

„Zachowaj litość dla tych, co ci boleść sprawią".
Ach! jeśli kiedy losy w tej próbie mię stawią,
Jakżebym taką niebios cnotę spełnić rada!
A przecież, któż wie naprzód!

Cóż reszta powiada?
„Wdzięczność... dobrze...

(patrzy w stronę nieruchomego Geralda, bierze kostki z myślą rzucenia ich powtórnie, ale, powstrzymuje się, jakby skutkiem rozmysłu).

Na dzisiaj... to i dosyć może.

(noc zapada).

Głos Amaurego (zewnątrz).

Baczność! strzeż nas o Boże!

Gerald.

(odpowiadając).

Baczność! strzeż nas Boże!

(inny głos powtarza dalej to samo hasło).

AKT DRUGI.

Miejscowość i dekoracya ta sama.

SCENA I.

Gerald.

Berta ma więc odjechać! Już wolne równiny,
Saksoni za Ren przeszli na swoje dziedziny,
Wojska kroczą ich śladem. Mnie Bóg szczęścia
[zbawił
Abym ją po raz drugi, mą piersią zastawił.
Dziś lub jutro nas rzuca. Przynajmniej umiałem
Ustrzedz się od podejrzeń. W otoczeniu całem
Nieznane me uczucia — i przed ojca okiem
Są tajne. Skryć je pragnę w milczeniu głębokiem:
Lecz milczenie mi cięży, poniża, bo kłamie,
Czuję wstyd jaki zradza, jako kary znamię.
Zastanówmy się jednak; potrzebnaż tu mowa?
Każdy ma jakąś tajnię, którą w duszy chowa.
Wstyd, przezorność, są sercu, choć z gruntu pra-
[wemu
Pozwolone—a przecież to wiedzie ku złemu,
Zacne uczucia gardzą pomroku zasłoną,
I niebo nie jest niebem, gdy gwiazdy nie płoną.
Tajemnica w mem łonie skrywać się nie może,
Muszę odkryć ją ojcu. A nuż go zatrwożę?
Po co mam go skazywać na męki — obawy —
Nieba! gdzież ja do kłamstwa nabyłem tej wprawy?
Mamże w tajni się wikłać, ukrywać się, zwodzić,
I z czołem pochylonem, manowcami chodzić!
A przecież jeśli wyznam, ojciec mi zakaże
Towarzyszyć jej w drodze, o której już marzę,
Gdy powiem, „że ja dla niej, chcę próg ojca rzucić!
Odmowa niezawodną! Ach! gdzież się mam zwró-
[cić
By rozjaśnić mgłę zwątpień ciążących nade mną?
Gdzież powinność? dróg do niej szukam nadaremno!
Boże oświeć. Losowi poddam się wrogiemu,
Ból ukocham — byle mię podniósł ku dobremu.

SCENA II.

Gerald, Amaury.

Amaury.

Ach! to ty moje dziecko?

Gerald.

Ojcze! chciej łaskawie
Posłuchać mię. Wyznanie, trzyma mię w obawie
I udręcza, jeżeli śmiem je odkryć szczerze,
Wierzaj, że czci dla ciebie, nic mi nie odbierze.

Amaury.

Mów więc.

Gerald.

Zatem... ja chciałbym... bo chociaż ścigałem
Saksonów, przecież wojny jeszcze nie widziałem,
Chciałbym więc kiedyś spojrzeć na prawdziwe boje
I miano, wznieść w zaszczycie, przez zasługi moje.

Amaury.

Rozumiem cię Geraldzie, jam był również młody,
Tłomaczę więc i cenię tych pragnień zarody,
A chociaż rozdział z tobą, boleść zada srogą,
Przecież cześć twa, jak tobie, równie jest mi drogą.
W Sycylii, powiadają, wojna się gotuje,
Niech ci ona do sławy drogę utoruje,
Pomyślę o tem...

Gerald.

Wybacz—żądzą serca mego
Jest, tu spełnić powinność. Karola Wielkiego
Żołnierzem przede wszystkiem chcę być ojcze drogi.

Amaury.

I to jeszcze rozumiem. Znajdziesz zastęp wrogi
Godny ciebie — w hiszpańskich Saracenach — oni
Dotąd mimo walk — naszej nieulegli broni
I często Akwitanię nachodzą spokojną.
Tam się poznasz Geraldzie z Saraceńską wojną,
Tam moi przyjaciele przyjmą cię życzliwie.

Gerald.

Więcej pragnę, czy większą dumę w sobie żywię,
Lecz chcę walczyć pod bokiem Wielkiego Karola.

Amaury.

Mniej rozumiem chęć, jaką zdradza twoja wola.
Syn żołnierza — bez sławy — sam zważ błędność
[drogi,
Któż ciebie tam zawiedzie aż w cesarskie progi?

Gerald.

Berta...

Amaury.

(chwytając rękę Geralda i patrząc mu w oczy).

Geraldzie!

Gerald.

Tak jest — wiedz co serce czuje.
Niechaj podła przebiegłość ust mych nie krępuje...
Kocham Bertę!

Amaury.

Mój synu!

Gerald.

Kocham—i to słowo
Zda się serce rozpierać, tak, że głośną mową
Wyznaję, że ją kocham i wielbię zarazem.
Jej oczy—rzecby można—są nieba obrazem
Dusza jej promienieje z anielskiego czoła,
Jej głos... któryż śmiertelnik, oprzeć się jej zdoła?
Kocham ją!... Szał czy rozum wwiódł mię na tę
[drogę,
Nie wiem — kocham — to dosyć — cóż więcej rzec
[mogę?
Ona jedna... ach wybacz! miłość ukrywaną
Możeby zrozumiała.

Amaury.

Więc jej nie jest znaną?

Gerald.

Mając szczęście jej życie zbawić zagrożone
Jako szlachetny rycerz —dawszy jej obronę,
Czyliż mogłem... twe serce samo mi odpowie,
Nadużywać zasługi, zdradzając ją w słowie?

Amaury.

Ach! oddycham!... trzeba więc, niechaj w tej godzinie
Nawet ślad twej miłości, w sercu twem zaginie!
Trzeba... ja tego żądam! Weź pod sąd dojrzały
Ty—pozbawion imienia, bez przodków, bez chwały!...

Gerald.

O! nie! nie! o tem wszystkiem, co mówisz, myślałem,
Wyżynę niedostępną, od dna wymierzałem.
Ów Roland w gorączkowej wyobraźni mojej,
Rycerz Boga! męczennik! zawsze widny stoi,
Którego życie płodne, śmierć w owoc bogata,
Uwielbiona przez Francyę, uczczona od świata.
Widzę tego monarchę, co prawami swemi
Sięga od krajów Pizan, aż do Gallów ziemi,
Karola z namaszczeniem papiezkiem na skroni,
Dzierżącego w spokoju złote berło w dłoni
Nie jako król. lecz prawie Bóg, co z łaskawości
Jest człowiekiem... A przecież trwam w szale mi-
[łości,
Kocham Bertę i w czystem, wiernem sercu tleje
Iskra jakiejś wielkości, co nieci nadzieję
Że ja godnym jej jestem.

Amaury.

Nie jesteś! ach nie! nie!
Ja żądam! bądź posłuszny! porzuć to marzenie!
A raczej, ja w imieniu miłości mej, proszę,
Zbłądziłem rozkazując, ja prośbę zanoszę
Do serca twego. Ty mnie znasz za mało,
Smutny, ponury, ciebiem unikał, bywało:
Bo o cię—młode, wrzące serce, bać się muszę,
Aby cień z mojej duszy, nie padł na twą duszę.
Ja cię kocham mój synu, moją cnotę, chwałę
Mam w tobie — wiesz ty o tem? tyś me szczęście
[całe!

Gerald.

Mój ojcze!...

Amaury.

Więc mój synu, osądź, jak się boję,
Ja mam serce żołnierskie... a patrz na łzy moje.

Gerald.

Mój ojcze!...

Amaury.

Posłuchaj mię—ta miłość szalona
Ja wiem—czuję Geraldzie, twej zguby dokona!
Widzę to jasno... dzisiaj, nadzieja cię mami,
Jutro, wznieci niepokój—wkrótce troska zrani,
Potem zazdrość, trujące wsączy w serce jady,
Nieprzyjaciel podstępne uknuje ci zdrady,
I ty—daleki celu, legniesz zawstydzony
Nadwszystko! od najdroższej istoty wzgardzony!

Gerald.

Boże!

Amaury.

Jedź, lecz wiedz synu, że to śmierć mi daje!

Gerald.

Ojcze!

Amaury.

Zostań! poprzysiąż!

Gerald.

Przysięgam! zostaję!

SCENA III.

Poprzedni i Radbert.

Radbert.

Hrabio, czaty znać dają hasłem z szczytów wieży,
Że liczny hufiec zdąża. To orszak rycerzy
Na który Berta czeka. Ile dojrzeć mogę
Wiodącą ku zamkowi, obrali już drogę.
Książę Nayme ich dowódcą, odgadłem po znaku,
Godło królów Bawarskich, przoduje w orszaku.

Amaury.

Książę Nayme! Spiesz Geraldzie, niech będzie [uczczony!
Urządź k'temu co trzeba.

(Gerald, po oddaniu pokłonu, oddala się).

SCENA IV.

Radbert i Amaury.

Amaury.

Radbert! jam zgubiony!
Nayme! Starzec co był prawdy i zacności wzorem.
Co jak Roland Achillem, był chrześcian Nestorem.
Książę—u Ganelona!... On u mnie! o Boże!
Radbercie! jeśli pozna!...

Radbert.

Nie! to być nie może!
Ganelon za zmarłego w męczarniach sądzony.
A zresztą, twoja blizna, twój włos pobielony,
Ta bruzda, jaką oko twoje wypłakało,
Wszystko to wzrok omyli.

Amaury.

Mogęż wierzyć śmiało?
Często rysów człowieka, nic zatrzeć nie zdoła,
Jeśli prawdziwe miano, on na jaw wywoła
W obecności Geralda!

Radbert.

Bądź do końca mężnym.
Niebezpieczeństwo niechaj znajdzie cię orężnym.
Postawę przyjm spokojną przed księcia obliczem
Ani wzrok twój zastraszyć, niech się nie da niczem.
Idź z czołem podniesionem, z pogodnemi oczy
A wnet pierzchnie obawa, która umysł mroczy.
Baczność! bo już nadchodzi...

(wchodzą w głębi ks. Nayme i jego otoczenie z Geraldem, wchodzi również Ragenhardt, ale pozostaje na uboczu).

(*d. c. n.*)

Kronika Naukowa.

przez H. K.

Znaczenie kongresów naukowych.—Kongres w Peszcie.—Podróże w głąb Afryki. — Ich znaczenie dla przyszłości Europy. — Morze w Algieryi. — Podróże po Azyi. — PP. Przewalski, Dybowski i Godlewski. — Oceania. — Wycieczki naukowe w tej części świata.—Pióra ptasie.—Tunel pod cieśniną Kaletańską.

(Dokończenie).

Ale nie tylko Afryka jest celem wypraw naukowych mających zdobywać nowe lądy dla osadników przyszłości, Azya, chociaż ze wszystkich części świata najdawniej jest zamieszkaną, chociaż jest kolebką świata i cywilizacyi, posiada wszakże ogromne obszary mało zaludnione i zbyt mało aż dotąd znane. Dwóch rodaków naszych, pp. Dybowski i Godlewski, od lat jedenastu we Wschodniej Syberyi osiedli, biegli naturaliści, w nauce zamiłowani, niezmordowanie pracują nad zbadaniem tych przestrzeni pod względem zoologicznym. Począwszy od zachodniej Dauryi, p. Dybowski zwiedził prawie całą Wschodnią Syberyę, zbadał jak najdokładniej jej faunę tak bogatą a tak jeszcze niedostatecznie znaną, część zbiorów swoich przysyłając do Warszawskiego Zoologicznego Gabinetu, czem go niemało wzbogacił, tak że dziś fauna Syberyjska lepiej jest w nim reprezentowaną aniżeli w innych europejskich muzeach. P. Dybowski oddał nauce znakomite usługi wyjaśniając i prostując niektóre niedokładnie znane okoliczności do niej się odnoszące. Naprzykład, około 80 gatunków ptaków, które dawniej zaliczano jako żyjących wyłącznie w Japonii i Chinach, okazał iż są mieszkańcami także i Syberyi Wschodniej, a przytem odkrył 10 gatunków zupełnie nowych. Nadto, ci niestrudzeni pracownicy na naukowem polu, zwiedzili i zbadali cały południowy brzeg Baykalskiego jeziora, a zmierzywszy dokładnie jego głębokość, sprostowali błędy poprzednich pomiarów. Okazało się iż największa głębia tej olbrzymiej masy wód dosięga 400 metrów. Ci panowie mają zamiar wrócić w tym roku ze swej długoletniej podróży i jest nadzieja że liczne i arcy ciekawe okażą nam zbiory.

Przed miesiącem, zaszczytnie znany już ze swych poprzednich podróży, naukowych spostrzeżeń i bogatych zdobyczy przyrodniczych, pułkownik Przewalski, na nową puścił się wędrówkę do krajów, które w części już zwiedzał, a mianowicie do Chin i Tartaryi Mongolskiej. Podróż jego ma trwać trzy lata, a celem jej jest dokładne zbadanie pod względem geograficznym i przyrodniczym Azyi środkowej. Zakreślił sobie program następny: najprzód chce zwiedzić i zbadać całą kotlinę Lob-Noor, począwszy od gór Thian-Chan, aż do podnóża łańcucha gór Himalajskich. W tym celu rozpocznie swoje prace od wschodnich stoków pasma gór Thian-Chan, które zwiedzi w całej ich długości począwszy od Kulogo aż do Hama, następnie brzegi jeziora Lob, jakoteż i stepy na wschód od tego jeziora położone a ogromne przestrzenie zajmujące, na nich czynić ma obserwacye nad przelotem ptastwa. Później uda się ku Lhassa, zwiedzi brzegi Brama-Putry, północne stoki całego łańcucha gór Himalajskich, wschodnią część Tybetu i Chiny południowe.

Pomimo znakomitych prac księdza Huc, braci Schlagintwelt, p. Panditę i innych uczonych którzy w części strony te zwiedzali, owe miejscowości środkowej Azyi nie dokładnie jeszcze są znane, podróż zatem pułkownika Przewalskiego rzuci zapewne nowe światło na kraje pod wielu względami ciekawe i wiele bogactw przyrodzonych posiadające.

Tak rząd jak i uczone towarzystwa francuzkie obecnie bardziej ku Oceanii niż ku innym częściom świata się zwracają i ku jej rozlicznym wyspom swe naukowe kierują wycieczki. Wielu uczonych tę piątą część świata nazywa *ziemią przyszłości*, wróżąc iż ona zastąpi kiedyś miejsce Europejskiego zachodu. Chociaż przepowiednia ta nazbyt śmiała i niewiele zasady mająca, przyznać wszakże należy, iż nigdzie tak szybko cywilizacya europejska się nie przyjęła, a co więcej i religia chrześciańska, jak na niektórych archipelagach Oceanii. Honolulu naprzykład, stolica wysp Sandwichskich, przed ośmdziesięciu laty zamieszkana przez plemię dzikie i ludożercze, a składające się z kilkudziesięciu szałasów nieśmiało z pomiędzy trzcin i sitowia wyglądających, dziś jest miastem kwitnącem, upiększonem wspaniałemi placami i gmachami prawie zbytkownemi, posiadającem fiakry, omnibusy i handel bardzo rozwinięty prowadzony przez licznych miejscowych i cudzoziemskich kupców.

Ale mówiąc o Honolulu i wyspach Sandwichskich, nie należy pominąć jednego ciekawego szczegółu odnoszącego się do strojów miejscowych. Tamtejsi mieszkańcy posiadają sposób wyrabiania rodzaju tkaniny z drobnych piór ptasich, która ma być bardzo oryginalną i ładną. Wiadomo, że ptaki Oceanii, zwłaszcza gatunki małe, odbarzone są nadzwyczaj żywemi, jaskrawemi barwami, mającemi nieraz metaliczne odblaski albo też i świetność drogich kamieni. Dobieranie tych barw oraz i wyrób samej tkaniny, zapewne ręczny, muszą być bardzo zmudne i kosztowne, albowiem płaszcz taki będący własnością zmarłego króla Kaméhaméha I, męża słynnej królowej Pomaré, a sławnego przed niewielu laty z postępowych rządów swoich, obliczony był co do wartości na 5 milionów franków! Zapewne liczono wartość biednych ptaszków nań użytych, jakoteż i czasu na wyrób, praca bowiem nad tym płaszczem trwała przez ciąg siedmiu panowań jego poprzedników.

Ciekawy ten szczegół podaje francuzki ornitolog p. Ferdynand Denis w wydanej przez siebie książeczce, w której zebrał wszystko co tylko się odnosi do piór ptasich, jakoteż i użytków jakie z nich w różnych krajach czynią.

Francya tedy wysyła obecnie do Oceanii p. Raffray w towarzystwie p. Maindrow, w celu czysto naukowym, mianowicie studyów ornitologicznych i zbierania okazów dla gabinetów francuzkich. Głównie ma on zbadać Nową-Gwineę pod względem ornitologicznym. Brazylia i Nowa-Gwinea są bowiem jakby uprzywilejowaną ojczyzną najkształtniejszych, najstrojniejszych i najświetniej ubranych ptaków, które pewien misyonarz poetycznego usposobienia, przyrównał do kwiatów niebieskich, przylatujących odwiedzać kwiaty ziemskie.

I Anglia nie lekceważy spraw podobnych, wysyła także do Oceanii p. Younga z misyą naukową, imiennika tego który obecnie w Afryce przebywa. P. Ra_

Wilson żegnając go na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Geograficznego w te odezwał się słowa: „Nowa-Gwinea potrzebuje mieć swego Camerona, mamy nadzieję iż pan pomimo trudów i niebezpieczeństw tej podróży, zdołasz się przedrzeć przez te niezmiernie a tyle obiecujące obszary i zbadasz je dokładnie, czem dla nauki i kraju liczne przysporzysz korzyści.“

Oprócz ważnej pracy utworzenia morza pośród Afrykańskiego lądu o której mówiliśmy, pracy mogącej mieć ogromne znaczenie w przyszłości, rozpoczęta jest inna, niemniej wielka, bez miary jednak trudniejsza i kosztowniejsza, a tą jest przeprowadzenie kolei podziemnej a raczej podwodnej, dla połączenia Anglii ze stałym lądem drogą żelazną. Projekt ten przez lat kilka był przedmiotem rozpraw i sporów bardzo żywych, wielu nawet uczonych geologów zaprzeczało jego możności, wszakże pomimo zdań przeciwnych, zebrały się towarzystwa akcyonaryuszów tak w Anglii jak i we Francyi i roboty już się rozpoczęły. Łatwo zrozumieć jak wiele i wielkich trudności przedstawiać będzie wykonanie tego podmorskiego tunelu pomiędzy Douvres i Calais, po pod cieśniną Kaletańską. Żadne dzieło dotychczas przez ludzi dokonane w podobnie trudnych nie znajdowało się warunkach. Ciśnienie całej olbrzymiej masy wód morskich na sklepienia tunelu, przesiąkanie tychże wód przez warstwy ziemi dno morza stanowiące, brak powietrza i t. p. stanowić będą przeszkody na pozór nie do pokonania, a jednak jest nadzieja, że obecna nauka przy pomocy kapitałów i wytrwałości doprowadzi do skutku to olbrzymie dzieło, które najniezawodniej będzie koroną wszystkich prac naukowych XIX stulecia.

Mówiliśmy że roboty już rozpoczęto: są to wszakże roboty wstępne tylko. Na brzegu morskim w Sangatte, o 7 kilometrów od Calais, wiercą studnię, która gdy dojdzie na 100 metrów, niżej od najniższego poziomu morza, wtedy rozpoczną kopać galeryę podmorską próbną, na jeden kilometr długą, dla zbadania na praktyce jak wielkie będzie ciśnienie wód na sklepienie przyszłego tunelu, które tylko teoretycznie mogło być obliczone. Jeszcze w roku zeszłym zbadano jak najdokładniej za pomocą sond, zapuszczanych w 1522 miejscach, na całej długości cieśniny Kaletańskiej, naturę gruntów przez jakie tunel przebijać się będzie. Mniejsza połowa jego jest skalistą, reszta składa się z gruntów przepuszczalnych, co właśnie wzbudza obawy, chociaż z niezmiernym kosztem i pracą, ale wolanoby cały tunel wiercić w jednolitej skale, jak górę Cenis przewiercono, jakkolwiek tu długość bez porównania jest większą. Podobne roboty próbne i na brzegu Angielskim około Douvres rozpoczęto. Rok obecny już nam zapewne dostarczy ciekawych w tym względzie wiadomości.

FRAGMENT

(z koncertu).

Wszedł na estradę,
Z czarodziejską skrzypką złotą,
I upatrywał jej lica blade
Z tęsknotą.

* * *

A ona strojna, niby sułtanka,
Więziła obok... co? — ot kochanka.
Skrzypek grał cudnie, drugi zaś złudnie
Szeptał o swoich milionach.
Płacz było słychać w muzyka tonach.
Brzęk złota zgłuszył piosnkę miłości...
Z panny dziś Herod — z muzyka — kości.

Miron.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Jedziemy dalej; gdzie okiem rzucić widzimy wodospady. Prędzej policzyłby gwiazdy drogi mlecznej, niż te kaskady. A jakże jedna do drugiej niepodobna! Ta tryska ku ziemi w kształcie bujnego kłosa; sąsiadka przeciwnie rozprasza się jakby najdelikatniejsze gałązki, które w końcu łączą się i w jeden zamieniają strumień; inne śmiałe koła zakreślają w powietrzu a niektóre znowu, jakby jakieś powietrzne widziadła, rozwiewają się zwolna zanim spadną na ziemię, lub zawieszone między niebem a ziemią tworzą jakby gazową zasłonę, pozostawioną przez jakąś boginię Północy.

Jak się tu dziwić że w starożytności każdej takiej kaskadzie przyznawano duszę i serce, uważano za bożka smutku lub wesela, skoro każda ma właściwy swój charakter, głos i obyczaje. Jedna spada z hałasem jakby śpiesząc się przerażona, mruczy i gniewa się na spotykane zawady; druga zsuwa się niedbale, stacza powoli po pochylonej powierzchni, zatrzymuje w wydrążeniach wykutych ręką przyrody, pozostawiając strzępek na każdym kamyku, perełkę na każdym kwiatku. A ta znowu płacząca wiecznie między dwoma skałami, nie jestże to jakaś niepocieszona Niobe?

Nieco dalej spotkaliśmy fiord, którego odnoga zabłąkana między górami dochodzi aż do ujść Romsdalu; zdawało się jakby wybiegła naprzeciw nam. Znajdowaliśmy się przy brzegach okrągławej przystani, która zdawała się zupełnie zamkniętą i którą możnaby wziąść za spokojne jezioro. Jednak na powierzchni wód jego unosiły się jakieś morskie porosty, które zapewnie przypędziły tu fale morza Północnego. Półwysep dosięgał aż do środka przystani, odbijając w jej wodach stojące na nim niebieskie i czerwone domy. Na tym półwyspie wznosiła się wioska, co jest wielką rzadkością w Norwegii.

Voeblungness zamieszkane jest przez samych rybaków. Szczęśliwi ci ludzie są najlepiej uprzywilejowani ze wszystkich do tego należących cechu. Zamiast żeby oni wychodzili za połowem, ryby same przychodzą do nich, podsuwają się pod ich wędkę, tak że nie potrzebują nawet opuszczać ładnych swych pomieszkań. Widzieliśmy jak siedząc na krawędziach okna, łapali haczykami na wędkę łososie, przybyłe jakby na obstalunek z wybrzeży Szkocyi, z przesmyków Orcades lub z okolic przylądka Północnego.

Wsiedliśmy na statek w towarzystwie mera wioski Voeblungness. Jest to Norwegczyk, blondyn, ruchy miał nieco ociężałe i nieśmiałe. Przeciwnie właściciel łodzi jest wydatnym typem mieszkańców północnej Norwegii. Przysadkowaty, ma mocne kolory, oko żywe, wymowę urywaną; miał buty skórzane, kaftan podszyty futrem i wielkie wełniane rękawice. Wyglądał trochę na niedźwiedzia który wraca z obławy zadowolniony zdobyczą. Żona przebywa razem z nim w tem wilgotnem mieszkaniu; gdyby nie bajowa zielona spódnica, obszyta czerwonem, trudnoby było domyśleć się czy to kobieta czy mężczyzna. Trzech majtków składało osadę łodzi. Właściciel jej żeglował długo po morzu Północnem i po Oceanie, poznał Anglię i Stany Zjednoczone i dość poprawnie mówił po angielsku; lecz widać ogarnęła go tęsknota do fiordów i wrócił do awanturniczego życia rybaków norwegskich. „Corocznie. na wiosnę, mówił nam, myślałem o tem, że ziomkowie moi *robili wówczas wycieczkę do wysp*, i żal mi było że nie jestem z nimi.

„W naszym kraju, mówił, wybieramy się na połów jak na wojnę, i nie jeden też już do domu nie wróci. W miesiącu marcu dowiadujemy się, że dorsze gromadnie nadpłynęły do West-Fiord, około Lofoden; nieprzyjaciel przybył, ruszamy na niego. Wybrzeże ożywia się od przylądka Północnego aż do Bergen; wypływają statki wszelkich nazw, kształtów i wymiarów, a przybywszy do wysp rozdzielamy pomiędzy siebie przestrzeń; czterysta do pięćset statków razem zarzucają sieci i wyciągają je z wody pełne rzucających się jeńców, jak stal błyszczących na słońcu. Pewna część osady wylądowywa w dobrze osłoniętej przystani, i zajmuje się suszeniem ryb na tykach.

— Przykry to nader widok, rzekł spokojny i milczący dotąd mer; raz w młodości brałem udział w podobnej wyprawie, ale nigdy już potem nie dałem się namówić. Wystaw sobie pan czterystu do pięciuset ludzi zgromadzonych w około zatoki, z zakrwawionemi twarzami i ustami, z roziskrzonym wzrokiem, z nożami w ręku, czekających na statki dowożące im ich zdobycz. Gdy tylko wyrzucą na skałę połów z sieci, każdy z wściekłością kata rzuca się na swoją ofiarę, rozbiera ją, obcina nożem głowę, rzuca ją w beczkę oliwy, potem wydziera wnętrzności, szarpie zębami i pożera drgającą jeszcze wątrobę, jakby jaki dojrzały owoc.

— No i cóż! zawołał właściciel łodzi, alboż to nie wojna? My mamy za sobą naszą zręczność i śmiałość, ryby znowu burzę, Maëlstrom, który porywa i pochłania okręta i prądy lodowatego wichru szalejącego na oceanie; co prawda narażamy życie, ale za to jakąż radością napawa nas zwycięztwo! Wiecie panowie co, zawołał zwracając się do nas, płyniemy do Bergen, a ztamtąd wracamy do Lofoden; udajcie się tam z nami, a poznacie kraj którego nigdy nie zdoła zapomnieć, kto się w nim urodził.

Podziękowaliśmy namiętnemu rybakowi, ale że właśnie zawinął do zatoki wielki steamer bardzo szybki i wygodny, więc woleliśmy na nim popłynąć do Bergen.

Z Voeblungness, żegluga zakrawa na miły wodny spacer. *Harald-Harfagor* (nazwa statku) przesuwa się po fantastycznych zakrętach fiordu, przepływa około Molde, małego miasteczka którego domy piętrzą się rzędami na zielonych pochyłościach, wśród najpiękniejszej panoramy, jaką nam przedstawiła Norwegia. Na pierwszym planie nizkie wyspy, pokryte zielonością, za niemi szereg wzgórz, a w oddali zamykają horyzont cyple otaczające dolinę Romsdalu, tak liczne i natłoczone jak maszty okrętów w dokach Liverpoolu.

Większa część tych wysp fiordu są niezamieszkane, przebywają tu tylko białe zające i czerwone daniele. Na wierzchołku jednej z nich postrzegliśmy z zadziwieniem powiewającą angielską chorągiew, unosiła się ona nad eleganckim drewnianym budynkiem, przypominającym zdala piękne wille wyspy Wight. Czyżby rząd królowej Wiktoryi nabył

praw własności do tego kawałka norwegskiego gruntu i czy należy dopisać tę wyspę na liście posiadłości angielskich, po Gibraltarze i Helgoland. Okręt zarzucił kotwicę; wysiedliśmy na ląd zwiedzić kolonię. Składa się ona z jednego tylko domu, *przywiezionego* wprost z Londynu, wraz z dachem, zielonemi zazdrostkami, małą wieżyczką i swoim *bov window*. Co rok, podczas pięknej pory, staje on w głębi jakiegoś skandynawskiego fiordu, w jesieni jest rozebrany i wraca spędzić zimę w jakimś składzie londyńskiej City. Właściciel Anglik jego wprowadził nas do sali pełnej przyrządów do łowów i rybołówstwa; pokazał nam ogród który sam zasiał ziarnem z Anglii i podał do przejrzenia ostatnie numera *Pall Mall Gazette* i *Punch*. Jest to namiętny myśliwy i rybołówca, przybywa corocznie do Norwegii, ale nie mogąc się rozstać ze swemi gustami i nawyknieniami a wreszcie dziwactwami czysto angielskiemi, wybierając się w podróż *zabiera z sobą ojczyznę*. Każe sobie budować szalet rozbierany, na sposób willi jaką posiada w okolicach Londynu; z nadejściem wiosny wsiada na swój yacht zaopatrzony we wszystko czego zapotrzebować może, zabiera na niego swój dom przenośny, zbiór nasion, zupełną piwnicę i znaczny zapas herbaty, i z tem płynie na wschód. Przybywszy do Norwegii, zajmuje jakąś bezludną wyspę obfitującą w ryby, ustawia swój dom i sieje sałatę. We dnie poluje na daniele i łowi łososie, wieczorem zjada złapane ryby, upolowaną zwierzynę i zasiane jarzyny. Przepływające statki pocztowe przywożą mu wieści ze świata i zabierają jego listy. Jak tylko pierwsze zimna się pojawią, zabiera dom i sprzęty i yachtem na kilka miesięcy wraca do Londynu, aby znów opuścić go z nastaniem wiosny. W zimie żyje jak gentleman, w lecie jak Robinson.

Ostre wyziewy dające się uczuć w powietrzu, zapowiadają zbliżenie się do oceanu; wierzchy fal zabiela piana, stada mew i morskich ptaków latają w około masztów, jesteśmy na morzu Północnem a nie widzimy go. Ze wszech stron sterczą setki wysp i wysepek, łańcuchy ogromnych skał, wzgórza wysokie dwa tysiące stóp, wznoszą ku niebu ostre swe zarysy; z pośrodka wód wyłaniają się gromady cyplów; u ich podstawy nie ma wcale ziemi roślinnej, granitowe te piramidy nie mają postumentów. Jednym rzutem wyskakują z morza, jakby wypchnięte jakiemś wulkanicznem podmorskiem wstrząśnieniem. Tworzą one jakby szereg pali olbrzymich rozmiarów, które przyroda powbijała w ocean dla osłonięcia i obrony wybrzeży Norwegii.

Z pośród wierzchołków ze wszech stron się wyłaniających, trzy panują nad horyzontem; wysokość ich jest bezmierna, kształty nader dziwne. Pierwszy *Alden* podobny jest do lwa leżącego. Mewy latają stadami w około tego potworu, nie naruszając jego snu wiekuistego, dziobią go bezkarnie i miriady osiadają na polerowanej jego powierzchni. W pobliżu wznosi się góra *Batalden*, olbrzymia masa, rozdwojona w środku; szczerba ta obejmuje sześćset stóp; możnaby myśleć że cyklop jakiś ugodził w nią kolosalnym toporem. Trzeci cypel *Hornelen* jest to wązki słup granitu, wysoki dwa tysiące stóp. Wznosi się przy ujściu Nord-Fiord'u, niby olbrzymia strażnica morska, ustawiona przez przyrodę przy wstępie do tego wewnętrznego morza.

Biada okrętom co poważyłyby się tu zapuścić nie mając dla kierowania norwegskiego sternika. Sami tylko mieszkańcy tych wybrzeży znają tajemnice i niebezpieczeństwa grożące tu żeglarzom; wiedzą o każdej rafie; nadali jej nazwę i nawet nie widząc odgadują jej istnienie. Nie są oni dziećmi ziemi; morze jest ich żywiołem. Zrodzeni w lepiankach zawieszonych tu i owdzie na grzbiecie gór, burza była pierwszym widokiem jaki uderzył ich oczy, ryczenie morza pierwszym usłyszanym dźwiękiem. Jeśli chcą uprawić kilka garści piasku jakie tu rzuciła przyroda, pług ich uderza o skałę; jeśli zasieli zboże, uragan roznosi zbiory i zostawia ich zgłodniałych na nagiej skale. Cóż mają robić? Oto zwracają się do morza, żądając od niego czego im odmówiła ziemia. Powierzają mu się z duszą i ciałem i nie lękają się fal jego; gniew morza ich nie straszy, burze nie przerażają, za nadto z niemi oswojeni; przepływają je więc, umieją zapanować i wydzierają pożywienie a często i skarby. Odnośnie do czasu bywają korsarzami, marynarzami lub rybakami, a zawsze najlepszymi żeglarzami. Pewien admirał Wielkiej Brytanii powiedział: „Gdybym miał zapanować nad morzami, żądałbym floty angielskiej z osadą norwegską".

Ale otóż i Alesund, małe rybackie miasteczko; wznosi się ono na trzech wyspach na których stoją lepianki drewniane, ustrojone sieciami i harponami; jakże to nie ponętne mieszkanie dla dzielnego i ambitnego księcia. I dziwić się tu że pan Alesundu, opuścił to stare norwegskie gniazdo przekładając nad nie pałac biskupi w Rouen. Jarl Rolf, zwany przez kronikarzy Rollon, udał się z Alesund na podbicie jednej z najpiękniejszych prowincyi starej Galli; osiedlił się w niej i nadał nazwę Normandyi, jaką po dziś dzień zachowała. Nie mogąc się oprzeć, król francuzki zmuszony był dać mu córkę swą za żonę, wraz z dziedzicznem posiadaniem jednej z najpiękniejszych cenności koronnych. Jednakże w końcu okazało się to korzystnem dla Francyi, gdyż uwolnił ją od napadów swych współziomków.

Powstrzymani na drodze rabunku i podbojów, rabusie norwegscy zwrócili działalność swą do innych przedsięwzięć. Zaczęli zapuszczać się śmiało na ten niezmierzony ocean ciągnący się na wschód ich ojczyzny, szukając tam dróg do nowych krain których istnienie przeczuwali. Dwóch takich króli morskich, (gdyż podczas żeglugi dowódzcy nosili ten tytuł) w stronie północno-zachodniej dotarli do ziemi nie roślinnej, z poszarpanemi wybrzeżami, z gruntem wstrząsanym peryodycznemi trzęsieniami, gdzie z pomiędzy wiekuistych lodów, buchał płomień wulkanu. Wyspę tę Wikingowie nazwali Islandyą i osiedlili się na niej.

Odkrycie to było jakby stacyą, słupem drogowym na drodze wiodącej na Zachód. W sto lat później, okręt skandynawski, który wróciwszy z Islandyi płynął ku południowi, został rzucony burzą na nieznane brzegi; gdy za powrotem do Islandyi żeglarze opowiedzieli swoją przygodę, inni zaciekawieni udali się w też same strony. W roku 1000, żeglarze Leif wraz z trzydziestu pięciu towarzyszami odkrył wyspę Nowej-Ziemi, a ztamtąd posuwając się ku zachodowi, dopłynął do rozległych przestrzeni pokrytych winnicami, które nazwał Vinland „krainą win". Była to Ameryka Północna, w pobliżu ujścia rzeki Św. Wawrzyńca. Na tych wybrzeżach osiedliła się kolonia skandynawska; odkryli także wybrzeża Nowej-Anglii, a nawet zdaje się iż Normandowie zapuszczali się aż po zatokę, do miejsca gdzie dziś wznosi się miasto Boston. Ustaliły się stałe stosunki między Norwegią a nowym światem, między metropolą a kolonią; jeszcze na cztery wieki przed Las Cases'em, papież mianował biskupów w Ameryce. Wojny domowe rozdwajające przez tak długi czas ludy skandynawskie, morowa zaraza ta straszna klęska, której wspomnienie po dziś dzień nie zatarło się w Norwegii, zdaje się przerwały stosunki między dwoma lądami, około 1350 r. Dopiero w półtora wieków później, Nowy Świat stanowczo został odkryty. Duch awanturniczy wskazał Europejczykom drogę do Ameryki, zapomniano jej skutkiem zbiegu okoliczności, aż dopiero geniusz odgadł i odnalazł ją następnie.

Siedm cypli ukazuje się na horyzoncie; sterczą one dokoła dość rozległej przystani; na ich pochyłości piętrzą się białe i czerwone domy Bergen'u, odznaczające się ostremi szczytami.

Przyroda obdarzyła Bergen rozległym portem, ale odmówiła dostatecznej przestrzeni do rozsadowienia się wygodnie w koło niego. Nie ma dość miejsca na miasto, między portem a siedmioma górami zacieśniającemi go ze wszech stron i oddzielonych jedna od drugiej wązkiemi parowami. Jednak w jednej z takich dolin usadowił się Bergen. Aby tego dokonać musiał przerzucać się przez urwiska, przeskakiwać przez góry z doliny w dolinę, podnosić się, spuszczać i znowu podnosić, co wszystko razem dziś nie wygląda na jedno miasto ale raczej na cztery lub pięć miasteczek rozrzuconych po wybrzeżach zatoki i oddzielonych od siebie ostremi urwiskami i skałami granitowemi. Gdy *Harald* zarzucił kotwicę; daremnie w malowniczej otaczającej nas panoramie szukamy linii prostej; gdzie rzucić okiem załomy, skrzywienia, wypukłości. Tu ukazują się nieregularne place, zasiane przepaścistościami, najeżone urwistemi pochyłościami, tam ulice wijące się wężowato w różnych kierunkach, słowem jest to miasto ułomne, jakby wijące się w boleści.

Już to w ścieśnionym wąwozie, domy gromadzą się, cisną, piętrzą jedne nad drugiemi, już znowu rozrzucone rzadko na ostrej pochyłości, zdają się prześcigać w niemożliwych skokach. I tak wciśnięty między morze i górę, wstrząsany ostremi wichrami wiejącemi od morza, sieczony deszczem, Bergen widzi i czuje jak rozbijają się nad jego głową wszelkie burze powstające na morzach północy; zdaje się że pozostaje nieustannie na łasce wichrów które jednym powiewem mogłoby unieść to miasto drewniane przyczepione do skał, ale cóż go to obchodzi. Bergen posiada geniusz handlowy i odwagę chciwości, trzyma się więc miejsca dającego rękojmię korzystnych interesów. Dostawiają tu corocznie 600 tysięcy dorszów z wysp Lofoden, a do Europy Bergen wyprawia rok rocznie 200,000 beczek tranu i ryb solonych. Wywozi, zamienia, pobiera opłaty, oblicza, składa, może pragnie najpierw dorobić się wielkiego majątku a dopiero szukać wygodniejszego gniazda, niż to w którem mieści się już od sześciuset lat.

IX.

Fiordy. — *Gwiazda poranna.* — Bergen. — Typy i ubiory. — Składy historyczne. — Miasto w mieście. — Sprawozdanie z *Panache* na cztery miesiące przed przedstawieniem. — Co to jest Fiord. — Styx. — Pani Caron. — Odde. — Pojedynek na noże. — *Marsylianka* w Thelemarken.

Harald-Harfager stanął w zatoce Bergeńskiej o pierwszej w nocy: całe miasto pogrążone było w głębokim śnie. W Bergen nie ma zupełnie tych posługaczy i komisyonerów, jacy w innych miastach czychają na wysiadających na ląd podróżnych, porywają ich rzeczy i gwałtem narzucają swe usługi. Tu pasażerowie sami muszą myśleć i o sobie i o swoich tłomoczkach. To też zabrawszy je poszliśmy szukać oberży, oryentując się według *Przewodnika*.

Droga była ciężka i męcząca; trzeba było wdzierać się na pagórki, spuszczać na pochyłości, przebywać stronę urwiska. Szczęśliwy kto był tyle przezorny że zabrał z sobą kij grubo okuty; jest on tak potrzebny przechodzącemu ulice Bergenu jak wdzierającemu się w wąwozy Dovre-Field'u. Postrzegliśmy nareszcie dom bardzo niepozorny, a na nim szyld oznajmujący oberżę. Dzwonimy, grube drzwi się nie otwierają; pukamy, nikt się nie odzywa, krzycze-

my nikt nie odpowiada. Wszyscy pasażerowie *Harald-Harfager'u* wpadają w złość okropną i zaczynają szturmować co mają sił a nareszcie kląć i wymyślać. Daremnie! tajemniczy hotel pozostaje równie głuchy na napaści jak na obelgi. Na domiar biedy dostrzegliśmy zdążającą ku nam gromadkę stróży nocnych, czuwających nad spokojem śpiących mieszkańców Bergenu; ruchy tych *policemen'ów* wydają się bardzo groźne, poruszają żywo bronią znaną w Szwecyi pod nazwą *Gwiazdy porannej*. Jest to jakby potworny kasztan żelazny, najeżony takiemiż kolcami i wiszący na łańcuchu. W naszem położeniu trzeba było szukać rozpaczliwych środków ratunku; to też uderzyliśmy we drzwi połączonemi siłami, w skutku czego się otwarły. Wpadamy tłumnie do hotelu, masz tobie! nie ma ani żywej duszy! Postępujemy jak w podbitym kraju, zajmujemy samowolnie pokoje i łóżka w nadziei że może się ktoś zjawi. W cztery godzin później, przybycie gospodarza zbudziło nas ze snu; mieszkał naprzeciwko, słyszał nasze dobijanie, ale nie uznawał stosownem trudzić się w nocy. Przedstawił nam się wesoły i uśmiechnięty; byliśmy pewni że będzie nam wymawiał zbyt gwałtowne wprowadzenie się do jego domu, gdzie tam! zapytał bardzo uprzejmie o której godzinie rozkażemy podać sobie pierwszy z czterech każdodziennych posiłków.

Gdyśmy śniadali, Bergen się obudził i jakby przeobrażony czarodziejską laseczką, przybrał teraz gwarną i ruchliwą postać. Plac targowy na który wychodziły nasze okna, jest zbiegowiskiem najró żnorodniejszych postaci, typów i ubiorów. Rybak z Norland'u w zatłuszczonym kożuchu, potrąca eleganckiego angielskiego turystę; mieszczanin Bergeński, potomek kupców Hansy, w pół Niemiec, wpół Skandynawczyk, mija się z majtkiem włoskim lub hiszpańskim. Tu także schodzą się okoliczni wieśniacy, przynosząc plon swych połowów handlowemu miastu, a wszyscy oni, równie jak Delekarlianie, zachowali odwieczny ubiór swych naddziadów.

Nic łatwiejszego jak zabłąkać się w Bergen; dość przejść kilkanaście kroków w którąkolwiek stronę aby się dostać w labirynt w którym pragnęłoby się posiadać nić Ariadny. Bergen nie ma pomników, ale ulice jego gotują przybyszowi pełno niespodzianek i malowniczych szczegółów. Patrząc na delikatne rzeźby zdobiące front domów, na gzymsy i wieżyczki, możnaby wziąść to miasto za skandynawską Lubekę; tylko że domy są drewniane, stolarska robota zastąpiła architekturę, a całość wygląda jak owe drewniane miasta które Norymberga rozsyła po całej Europie: jest tylko różnica co do wielkości.

Idziemy ciągle pod górę, aż nagle zagradza nam drogę gruby bardzo mur najeżony wieżycami. Most zwodzony ułatwia przejście. Otóż jesteśmy w starożytnej cytadeli, Bergenhus, stolicy dawnych królów norwegskich; fortecę tę nazywano niezdobytą, może dla tego że nikt zdobywać jej nie myślał. Z wierzchołka szańców widać Bergen z jego białemi domami z czerwonymi dachami, widać port w którym kołyszą się okręta. Po za miastem rozciągają się długie przedmieścia stanowiące jego przedłużenie; wiją się na wybrzeżu między górą a morzem. Wszędzie pełno czynnych fabryk; kominów uwieńczonych słupami dymu, warsztatów gdzie budują okręty. Dalej ukazują się w załomach gór piękne wille otoczone ogrodami, w których za wiele jednak sztuki i systematyczności co zamiast poprawiać psuje dzieła przyrody. W tych to eleganckich willach, przemysłowcy Bergenu spędzają piękne letnie wieczory, zapominając o całodziennych trudach. We dnie, zamknięci w ciasnych budach z widokiem na port, zapisują, obliczają, gromadzą owoce wypraw odważnych rybaków, z których ciągną korzyści.

(d. c. n)

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.
W WARSZAWIE.

Sprawozdanie nasze zaczniemy od spóźnionej pochwały, bo obraz o którym wspominamy, znikł już z oczu publiczności nawiedzającej salon wystawy i stał się własnością prywatną. Jest to najnowsza praca naszego współziomka p. Henryka Siemiradzkiego. Rozmiar niewielki, ale jakaż treść poetyczna, co za wdzięk wykonania! Błękit nieba zlewa się łagodnym odcieniem z błękitem spokojnego morza, słoneczne blaski przez liściaste gałęzie drzewa świetlane; drżące falują fantastycznie, a młoda, piękna para, młodzieniec i dziewica spoczęli wśród tego zacisznego ustronia... Zapewne się kochają, są szczęśliwi, ale oczy ich nie toną we wzajemnego zachwytu głębinach, usta nie szepczą zwyczajnym szczebiotem zakochanych.... Spojrzenie ich omgliła tęsknota, lica zadumą owiane, bo tuż, naprzeciw nich, grobowiec stoi w swej majestatycznej powadze i tajemnicy, zwiastując doczesność wszystkiego, budząc żałobne wspomnienia i myśli. Z marmurowego mauzoleum dwie nieruchome twarze, wizerunki tych co tu spoczęli, zdają się poglądać ku wędrowcom... śmierć w objęciach wiecznego spokoju śle pozdrowienie życiu, co dumna siłą młodości i czucia, z żalem wspomina owych, którzy już weszli za niezbłaganą granicę nowego bytu... Śmiertelny chłód grobowych posągów obojętny na słońca ciepłe blaski, na serc gorące wezwania, zda się być wymową duchów przenikającą dreszczem, te piękne ciała życiem pulsujące... memento mori!...

Pan Siemiradzki w pracach swych łączy wzniosłą myśl z wyborną plastyką pędzla: poezya, harmonia i sztuka to są muzy jego. Słusznie nadał wspomnionej pracy tytuł ulubiony przez poetów i muzyków *Elegia*. Muzy są siostrami, a natchnienie artystów choć w różnej formie się objawia, to zawsze *Piękno* jest ich jedynem źródłem.

Ś-ty Stanisław p. Gersona Wojciecha, przedstawiony jest w chwili, gdy lud pokrzywdzony, prawdopodobnie przez królewskie sługi, udaje się z prośbą i płaczem do biskupa o wstawiennictwo. Widzimy tu piękną i pełną prawdy postać wieśniaka, z ufnością wpatrującego się w dostojnego orędownika i pokładającego w nim jedyną nadzieję: trochę dalej niewiastę przywodzącą dziecinę do opiekuńczych stóp biskupa i charakterystyczną głowę trzeciego suplikanta. Ośmielimy się jednak zarzucić artyście, z prac innych tak chlubnie znanemu, że w tej pomniejszej, znajdujemy cokolwiek zdaniem naszem wadliwe ugrupowania niewiasty z dziecięciem (główne dziecię niewyraźnie zamieszane w grupie) i w twarzy biskupa, który, być może, w przeddzień śmiałego wystąpienia przeciw nadużyciom możnowładcy które mu śmiercią zagraża, słucha skarg, skłaniających go do tegoż wystąpienia. W obliczu takiego męża chcielibyśmy znaleźć więcej namaszczenia, uczucia i wyrazu. Od pana Gersona mamy prawo tego wymagać.

P. Maszyński Julian dał nam ponętny obrazek p. t. *Rok 1812*. Data nie potrzebuje komentarza. We wrota dziedzińca wiejskiego, wchodzi smutny orszak... stary wiarus podtrzymując, prowadzi młodego wojaka z obandażowaną szmatami nogą zranioną, a i głowa chustą obwita — snać biedak nie oszczędzał się i wdzierał się odważnie między bagnety i pałasze, aż i męztwo purpura krwi oblokła, a lice pobladło jej upływem. Na ganeczku we dworze, stoi ojciec stary, dłoń przyłożył do oczu? A kogóż tam Pan Bóg prowadzi?... i widz odczuwa co tu za chwilę się stanie, gdy serce ojcowskie co już pewnie drga niepokojem, nagle rozpozna w rannym żołnierzu własne dziecko, syna swego, nadzieję i chlubę...

Ludzie z wioski patrzą ciekawie, chłopaki i dziewczęta wyglądają z za płota, żeby też zobaczyć „żołnierzy.“ Postacie żywe i pochwycone charakterystycznie. Towarzysze młodego wojaka, wiarusy tęgie, jeden w płaszczu beduińskim zdradzającym dalekie wędrówki dzielnego poczciwca co go na swych barkach nosi — oba z wyrazem serdecznego współczucia nad rannym towarzyszem dopełniają miłe i rzewne wrażenie obrazu.

Konrad Wallenrod p. Sypniewskiego, przedstawiony w chwili, gdy wzburzony pieśnią starego Wajdeloty, zrywa się, rzucając puhar przedtem licznie wychylany i gorszy ucztujących wybuchem jakby szaleństwa. Przedmiot to wdzięczny, zajmujący, i stanowić mogący szerokie pole dla artysty. Nie możemy przyznać aby p. S. odpowiedział zadawalająco swemu zadaniu. Jego Konrad, lubo zamało ma wyrazu i siły uwidniającej wybuch tej walki co szarpała na dźwięk rodzimej pieśni jego duszą, mniej jeszcze zasługuje na zarzuty, niż otoczenie ucztującego zakonu, niż Witold i dworzanie. Wajdelota, krzyżujący swe spojrzenie ze wzrokiem wodza, oddany najtrafniej; u Witolda, ani znaku owego wzburzenia, co rumieniło jego lice pod wpływem szyderskiej mowy pieśniarza — podrzędne zaś figury, pachołek, i o ile się zdaje, trefniś, leżący na posadzce na pierwszym planie obrazu, posiadają tak niemożliwe proporcye nóg, że nie pojmujemy jakim trafem spotykamy tutaj tak rażący błąd rysunku? Osobliwie trefniś, chyba dla śmiechu przyprawił sobie martwą nogę, o ćwierć łokcia przynajmniej dłuższą od drugiej. Wady te ujmują wiele kompozycyi, posiadającej obok nich i swe zalety, lubo mniej niż zwykle u p. S. wydatne.

Korespondencya ze Lwowa.

Dr. Henryk Blumenstock, krakowianin, zajmujący od kilku lat zaszczytną posadę rządową w Wiedniu, wydał tam rozprawę niemiecką o poetach należących do szkoły zwanej ukraińską. Rozprawa poświęcona jest głównie Bohdanowi Zaleskiemu ale Niemcy dowiedzą się z niej wiele nowych rzeczy także i o wszystkich innych znakomitych naszych poetach. Drukował tę rozprawę najpierw w roczniku literackim *Dioskuren*, który od kilku już lat wydaje towarzystwo urzędników na korzyść swoich funduszów. Rocznik ten posiada wziętość i bardzo szerokie koło czytelników, bo najpierw dobór artykułów różnorodnej treści i wielkiej wartości literacko-naukowej, a powtóre cel na poparcie zasługujący, jedna mu z każdym rokiem coraz większą popularność w Niemczech. Dr. Blumenstock należy do stałych współpracowników tego rocznika literackiego i w ubiegłych latach drukował w nim rozprawy literackie o kilku innych znakomitych poetach

mianowicie o Zygmuncie Krasińskim, Słowackim, Syrokomli i Fredrze. Zdaniem naszem dr. Blumenstock zasłużył się temi pracami literaturze daleko więcej niż się zdaje na pozór. Nie może to bowiem być obojętne dla nas, w jaki sposób zagranica poznaje naszą literaturę, zkąd się dowiaduje o niej i na jakiej podstawie sąd swój wydaje. Na dostarczeniu zagranicy dobrych informacyi o naszej literaturze i sztuce wiele nam zależyć powinno, zwłaszcza teraz, gdy co chwila spotkać się można w tem lub owem piśmie niemieckiem a nawet w takiej *Revue des deux mondes* z artykułami Sacherów - Masochów i Franzosów, poniewierających wszystko co jest słowiańskie, przedstawiających Galicyę jako zakątek azyatycki a nas za barbarzyńców, którym niedaleko do ludożerstwa. Dr. Blumenstock ma przed sobą piękną misyę w obec powyższych pismaków niemieckich a dodajemy zaraz, że od kilku lat spełnia tę misyę w niemieckim świecie literackim z wielką zręcznością, z korzyścią dla kraju rodzinnego a z chlubą dla siebie. Dr. Blumenstockowi uwierzy niemiecki czytelnik, bo uprzedza go korzystnie dla artykułu niemieckie brzmienie nazwiska. Nie chcemy tem bynajmniej powiedzieć, że niemiecki czytelnik zostaje w błąd wprowadzony. Z prac dr. Blumenstocka wyciąga szczerą prawdę, bo autor pisze ze spokojem i tą rozwagą krytyczną, która stara się stłumić w sobie wszelką z osobistej lub narodowej sympatyi i indywidualnego zachwytu wypływającą przesadę w pochwałach. Właśnie dla tego prace dr. Blumenstocka stanowią bardzo skuteczne antidotum, na elokubracye spotwarzające słowiańskie społeczeństwo i piśmiennictwo. Tu fałsz tendencyjny wyziera na każdym kroku, tam panuje szczera prawda, której świadectwo złoży każdy uczciwy i nieuprzedzony Niemiec — tutaj wydobywa się zewsząd zjadliwa namiętność, targająca się na nieznane arcydzieła, tam przemawia jasny i spokojny umysł, który ze wszystkiego zdaje sobie sprawę i wszystko głębiej uzasadnić umie.

Kto ma przed sobą takie dwa głosy musi pójść za dr. Blumenstockiem, choćby był jaknajgorzej uprzedzony dla wszystkiego, co nie jest niemieckiem. A rocznik literacki *Dioskuren* posiada tysiące czytelników, rozchodzi się po całych Niemczech, jest poważany w świecie literackim i z każdym rokiem wywalcza sobie szerszą popularność. Stałem współpracownictwem w tym roczniku, może zatem dr. Blumenstock oddawać i nadal nieocenione usługi naszej literaturze.

O Sacherach i Franzosach spotwarzających nas nieustannie w artykułach, fejletonach i osobnych książkach, już nietylko w obec Niemców lecz nawet w obec Francuzów, pisałem kilka razy, gdy ich elokubracye miały jakie takie powodzenie. Można było przewidzieć, że świat prędzej lub później pozna się na tych pismakach i wzgardzi ich ramotami oszczercemi. Nie spodziewaliśmy się jednak że reakcya nastąpi tak rychło, że już w tym roku brodzki humorysta wschodniego typu, Szulim... Mechel... (czy jak tam na imię) Franzos, spotka się z zasłużoną chłostą w poważnem piśmie niemieckiem. Stało się tak istotnie, a chłosta prześcignęła nawet oczekiwania. Krytyk niemiecki odezwał się ze wstrętem o książce Franzosa: O Galicyi, ochrzczonej dla wywołania zajęcia śmiesznym tytułem „Pół-Azyi.“ Prawdopodobnie jeden taki głos niemiecki odda prawdzie i sprawiedliwości większą przysługę, aniżeli tuziny protestów w nieczytanych zagranicą dziennikach naszych. Panu Franzosowi zależy przede wszystkiem na dobrem spieniężeniu tej szczypty talentu, jaką może posiada, więc szkalował Galicyę dla tego, że to jakiś czas popłacało w Wiedniu i w innych stolicach niemieckich. Skoro artykuły te stracą kredyt literacki w obec poważnej krytyki, Franzos pewnie rzuci się na inne pole i jeżeli mu kto dobrze zapłaci, napisze na zawołanie książkę wynoszącą Galicyę pod niebiosa i zatytułowaną np. „Francya północna!“

Trzeba się jednak uderzyć w piersi i przyznać, że czasem mimowoli i bez zastanowienia dostarczamy takim Franzosom wątku do ich niegodziwych elokubracyi. Jest to rzecz sprawdzona na wielu przykładach, że najgorzej o Lwowie i w ogóle o naszem społeczeństwie piszą właśnie tutejsi korespondenci do dzienników i tygodników warszawskich i poznańskich. Sprawa ta jest u nas w tej chwili na porządku dziennym i stanowi przedmiot artykułów polemicznych prasy lwowskiej. Prasa lwowska dotknęła tego przedmiotu, ale zamiast skarcić korespondentów i skończyć na tem wszczęła jak zawsze i przy każdej sposobności ożywiony spór a raczej kłótnię o to, kto pisze takie niepochlebne korespondencye o Galicyi: sami Galicyanie czy kto inny? Ażeby pojąć znaczenie tego sporu, trzebaby wtajemniczyć się w stosunki galicyjskie, czego czytelnicy, zważywszy małą wagę sprawy, zapewnie nie bardzo sobie życzą. Pomijamy zatem tę stronę sprawy i przyłączamy się tylko do nagany udzielonej korespondentom lwowskim prasy warszawskiej. Czy i sami przyznajemy się do winy, bodaj częściowej? Bynajmniej. Redakcya Tygodnika nie odmówi mi tego świadectwa, że nie patrzę na wszystko zgryzliwie i złośliwie, że nie silę się na wynajdywanie czarnych plam we wszystkiem, co się u nas dzieje lub nie dzieje. Szanowne Czytelniczki które czytają Tygodnik od kilku lat, także przyłączą się do tego świadectwa, gdyż nieraz wyraźnie to podniosłem, że sami Lwowianie a przynajmniej ci, którzy ze Lwowa i o Lwowie piszą, są najpohopniejsi do oczerniania Galicyi i jej stolicy. Szanowni panowie redaktorowie, którzy długo drukowali korespondencye lwowskie pełne narzekań na nasze stosunki, powinniby uderzyć się w piersi i przyznać, że często właśnie w tych narzekaniach upatrywali rękojmię trafności spostrzeżeń i bystrości swoich sprawozdawców. Zachodzi teraz obawa, ażeby ostateczności nie zetknęły się ze sobą w korespondencyach lwowskich tak samo jak w przysłowiu. Niejeden z szanownych korespondentów gotów wziąść sobie bardzo do serca wyrzuty lwowskiej prasy, i zamiast nałogowo narzekać i tetryczyć, zacznie teraz wszystko zachwalać. Kto wie, czy taki zwrot nie byłby gorszy a przynajmniej szkodliwszy od dotychczasowego systemu korespondencyjnego.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Ateneum z drugiego półrocza 1876 (Lipiec — Grudzień).

Przed kilkoma miesiącami poświęciliśmy dość obszerne sprawozdanie pierwszym zeszytom nowego poważnego czasopisma; teraz więc wypada nam uzupełnić przegląd jego działalności w pierwszym roku istnienia.

Najobszerniejszą z prac umieszczonych w Ateneum za ubiegłe półrocze, bo ciągnącą się przez 4 zeszyty, jest szkic historyczny p. Kanteckiego „Ojciec Stanisława Augusta“, który już wyszedł i w osobnej odbitce. Odświeża tu autor w naszej pamięci osobistość Stanisława Poniatowskiego prawdziwego dorobkowicza, który w ciągu swego długiego życia najrozmaitsze przechodził koleje, przerzucał się zręcznie od jednego stronnictwa do drugiego i począwszy od nieznacznej, stosunkowo, roli, którą odegrywał przy boku Karola XII, doszedł do pierwszej godności w kraju, a związkami pokrewieństwa połączył się z najpotężniejszą w kraju rodziną Czartoryskich, co utorowało drogę do tronu jego synowi. Praca pana Kanteckiego jest, w gruncie rzeczy, tylko kompilacyą, ale do tego kompilacyą umiejętną, wykazującą znajomość mnóstwa znanych i mniej przystępnych źródeł, w których tylko można było coś znaleźć o osobie i działalności Poniatowskiego. Pod tym względem, zdaje się, że autor wyczerpał wszystko, jak to każą przypuszczać obfite i różnorodne przytoczenia. W dziejach naszych jest to rzeczą osobliwszą, na którą niejeden historyk mimowoli musiał zwrócić uwagę, że w wynoszeniu na tron królów elekcyjnych w ogóle odegrywał znaczną rolę przypadek, szczególniej zaś z czterech „Piastów“, którzy zajmowali tron polski, tylko Sobieski zdobył go zasługą, ale ani on ani żaden inny król Polak nie należał do rodów najznakomitszych i najpotężniejszych w Rzeczypospolitej. Stanisław August mógł powoływać się tylko na ojca, ale nie był w stanie, a jak niektórzy twierdzili, nie miał nawet powodu pochwalić się swoim dziadkiem, który podług Rulhier'a, był podstarościm (po naszemu ekonomem) w dobrach Sapiehów. Po wyniesieniu Stanisława Augusta na tron, pochlebcy sfabrykowali bajeczną genealogią Ciołków Poniatowskich od hrabiów włoskich nazwiskiem Torelli. O tej genealogii ciekawe szczegóły podaje p. Kantecki: ojciec królewski rozpoczął swój zawód również na dworze Sapiehów, a podług Matuszewicza, jako pokojowiec Lubomirskich. Najważniejszy okres jego działalności, jako towarzysza wypraw i wygnania Karola XII, opisany jest przez autora bardzo szczegółowo i zajmująco. Poselstwa Poniatowskiego do Stambułu i jego zachowanie się w czasie pamiętnej wyprawy nad Prut (1711) szczególniej przedstawione są wyczerpująco. Tu już przyszły wojewoda dał się poznać, jako biegły intrygant i przezorny dyplomata. Po śmierci Karola XII czas jakiś pozostawał w służbie szwedzkiej i trzymał się partyi Leszczyńskiego, ale wkrótce przyszedł do obozu Augusta II, któremu tem szczególniej się przysłużył, że wydostał i oddał mu akt abdykacyi na rzecz Leszczyńskiego pod przymusem szwedzkim niegdyś przez Augusta podpisany. Działalność Poniatowskiego, który został regimentarzem koronnym, za Augusta II mniej była ważną, choć i tu autor podaje ciekawe szczegóły o początku związków regimentarza z Czartoryskimi, które miały tyle wpłynąć na wywyższenie jego rodziny i na losy kraju. Za to obraz bezkrólewia po Auguście II i udziału Poniatowskiego w intrygach i układach owoczesnych, skreślony bardzo gruntownie, może dostarczyć wielu nieznanych przedtem historykom naszym szczegółów. Poniatowski, który był już wówczas wojewodą mazowieckim, czas jakiś sam nawet marzył o koronie, a potem, opuściwszy partyą saską, której dotychczas był sprzyjał, wziął stronę Leszczyńskiego. Ciekawe są szczegóły blokady gdańskiej i postępowania Münicha ze zgromadzonymi w Gdańsku panami polskimi. Dalsze koleje życia Poniatowskiego, który w końcu otrzymał najwyższą godność senatorską — kasztelana krakowskiego — nie przedstawiają już tyle zajęcia, ciekawe są jednak szczegóły o korespondencyi jego z cesarzową Anną i z Bironem, których nie wahał się często upraszać o względy i protekcyą, a nawet o pieniądze. Określając przy końcu swej pracy charakter i działalność swego bohatera, autor przyznaje mu niezwykłą bystrość i przenikliwość umysłu, trzeźwy pogląd na sprawy krajowe, wielką zręczność w działaniu, a jednak stanowczo utrzymuje, że mąż tak niepospolity i zdolny żadnego pożytku nie przyniósł krajowi,

a to dla tego że zawsze dbał tylko o wyniesienie siebie i swojej rodziny, co mu się też świetnie udało, a nigdy nie miał na widoku bezinteresownego dobra kraju. Pan K. sądzi nawet, że jego krewniacy Czartoryscy, pomimo ogromnej ambicyi, więcej kierowali się pożytkiem kraju w swoich późniejszych próbach przekształcenia Rzeczypospolitej. Autor mniema że Poniatowski szkodliwie wpłynął na Czartoryskich: on ich nauczył chwiejności, braku stałych zasad i przerzucania się z jednego do drugiego, często zgubnego kierunku. To, co w późniejszej polityce „familii“ było szkodliwego dla kraju, wynikło z wpływów, przykładu i nauk Poniatowskiego. „On narzucił Czartoryskim — powiada autor — swoją metodę postępowania, tłomacząc zapewne, że do najwznioślejszych nawet celów nie dochodzi się drogą prostą, lecz krętemi ścieżkami i dla tego uważamy go za największego u nas w pierwszej połowie XVIII wieku politycznego winowajcę. Jest nim, jako wyjątkowy, genialny człowiek, nietylko ze względu na to co zrobił, lecz i na to, czego nie zrobił, a czego powinien był dokonać. Mógłby wprawdzie kto zarzucić, że pośród smutnych stosunków, opłakanego stanu kraju, zaciekłości stronnictw, przy najlepszych nawet chęciach nicby dla ojczyzny uczynić nie zdołał. Przyznajemy, że położenie było trudne, pojmujemy że nawet potężna głowa mogłaby się rozbić wówczas o twardy mur szlacheckiego i możnowładczego zaślepienia, że potok anarchii mógł swym pędem przełamać silne tamy — ale gdybyż się był przynajmniej starał oprzeć jego rwącym nurtom, gdyby był popróbował walczyć z szaloną falą!“ Na tę trafną charakterystykę i ocenę Poniatowskiego nie zgodzić się trudno: może tylko autor trochę przesadza jego *genialność*; ale niewątpliwie, w braku geniuszów i wielki rozum Stanisława mógłby wiele przysług wyświadczyć ojczyźnie, a że tego nie uczynił — wielka to wina, której mu darować niepodobna.

Drugą większych rozmiarów pracą, która wyszła także w oddzielnej odbitce, jest pięcioaktowy dramat p. Rapackiego „Mazur-Czart“. Ma to być niby dramat historyczny, a „Mazur-Czart“ oznacza Konrada II księcia mazowieckiego, którego dzieje napiętnowały głównie za osadzenie Krzyżaków na ziemi polskiej. P. Rapacki wystawia go jako okrutnika i potworu, rozpasanego na wszystkie zbrodnie i nadużycia, opierając się przeważnie, jak mówi, na podaniach ludowych. Gdzie i od kogo zebrał te podania — nie wiemy, a byłoby rzeczą ciekawą dowiedzieć się o tem. Bądź co bądź utwór to chybiony, nie odznaczający się ani żywością akcyi, ani udatnością charakterów, nie posiadający warunków scenicznych, a w czytaniu bardzo nudny i ckliwy. Autor używa wiersza białego, bladego i kulawego; koloryt dawnych wieków usiłuje naśladować pogonią za archaizmami, niezbyt fortunną; osoby działające odznaczają się zbyteczną gadatliwością, a wrzekomy realizm, któremu widocznie autor hołdował, zesta je bardzo często w sprzeczności z wymaganiami dobrego smaku i szlachetności stylu: bardzo często napotykamy tu obrazy wstrętne, wyrażenia trywialne lub niesmaczne. Oto np. cnotliwy wojewoda Krystyn, zwany „bogiem mazowieckim“ wzywa księcia Konrada do upamiętania następną niesmaczną tyradą:

Patrzycie na mnie zwierząt źrenicami!
A zęby wasze *w takt wściekłości* dzwonią.
Już zausznicy donieśli skwapliwie
Żem *klątwą zbudził* to zamczysko całe.
Dzisiaj przychodzę w oczy ci nią cisnąć.
Patrz, sam przychodzę—*miecz mój w domu został.*
Przebrana *miara przelewa się* (sic) z czary,
Raz już ostatni przemawiam do ciebie,
Staję bezbronny — *głosowi sumienia*
I czci twej niosę (!) siwą głowę moję.
Jeżelić szatan, co wciąż *durzy* w tobie,
Nie starł do szczętu znamion człowieczeństwa,
To słowa moje uczcisz i przeprosisz.
Jeśliś zaś w piekła zagrzązł chuciach ciemnych,
Weźmiesz mą głowę, *nic na tem nie stracę,*
Bo wtenczas nie mam już nic do stracenia. (Lipiec str. 97).

Co za szczytna myśl przy końcu! Krystyn, ażeby nastraszyć Konrada, *głosem wielkim i z natchnieniem* wmawia w niego, że widzi przed sobą ducha ojca — Kazimierza Sprawiedliwego. Konrad—wiadomo że wtedy ludzie byli bardzo naiwni—wnet temu krzykowi uwierzył i woła:

Och, on mi *duszę przewrócił* straszliwy! (tamże str. 101).

Zaprawdę rodzina Konrada mogła nazwać postępowanie Krystyna *kuglarstwem*, ale za jakie grzechy karmi nas pan R. takiemi błazeństwami?

Oszczędzimy już czytelnikom dalszych przytoczeń; tylko na poparcie wypowiedzianego powyżej zdania o skażeniu języka, z którym autor postępuje sobie bez ceremonii, przytoczymy takie przykłady jak *gaworzy* i *gawor* (str. 74 Lipiec), *żuber* (tamże str. 75), *paplarka* (tamże), *chutność* i *chutnie* (w wielu miejscach np. str. 76 i 78), *sklni* tamże str. 77), *ugaszcza* (tamże str. 80); lew *w zastawkę popadł* (tamże str. 84); me biedne włości *ogień spłonął* (sierpień str. 281); *szydny* (w wielu miejscach np. str. 298); pasmo, co *go* wloką (tamże i t. d.) W Mazurze-Czarcie znajdujemy wszystkie te błędy, co w poprzednim dramacie autora *Wit Stwosz*, ale jeszcze bardziej spotęgowane, tak że nowy ten utwór jest jeszcze daleko słabszym od słabego *Wita Stwosza*. Zapewne autor nie zechce iść dalej po tej drodze, na której żadnego talentu nie okazał. Poezya dramatyczna — to wykwit i punkt kulminacyjny poezyi nie łatwo zasłynąć jak Szekspir: u nas widocznie jeszcze na to zawcześnie.

(*d. n.*)

NOWE WYDAWNICTWA.

Szkiców historycznych Karola Szajnochy, wyszedł tom V nakładem Józefa Ungra i zawiera: dalszy ciąg opowiadania o Jadwidze i Jagielle.

Prenumerata na wszystkie tomy wynosi rs. 20 do której na przesyłkę pocztową dopłaca się rs. 1. Dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego cena prenumeracyjna o połowę zmniejszoną została i wynosi rs. 10.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pannie Julii S. w Bednarówce. Obie loteryjki posłane, reszta w ilości rs. 1 kop. 17 pozostała na mapy.

Pani Zofii I. w Podgaju. Rs. 3 odebraliśmy, po potrąceniu naddatku do drugiego transportu pozostało długu kop. sr. 65. Suknia i list z rachunkiem wysłany.

Panu Janowi Ż. w Hajsynie. Rycinę musieliśmy osobno opakować inaczej mogłaby się uszkodzić. Zwiększyło to znakomicie koszt przesyłki i opakowania. Do przysłanych rs. 6 dołożyliśmy kop. sr. 70. Szczegółowy rachunek wysłany.

Pani S. K. w Grozubku. Żądane cukierki, sprawunk i książeczki wysłaliśmy. Pozostało po zaspokojeniu kosztów przesyłki kop. sr. 38 $\frac{1}{2}$. Pończocha gumowa mierzona zapewne była na długość a nie na szerokość: gdyby jednak niedogodną się okazała, upraszamy o odesłanie z szczegółowem objaśnieniem.

Pani L. w Malinikach. Prosimy o właściwy adres, gdyż stacya Hrehorowce nieprzyjmuje posyłek.

Pani Karolinie H. w Satarowie. Metoda Jeskiego wyszła w nowem wydaniu. Metoda Ollendorfa kosztuje rs. 2 kop. 60.

Panu Bazylemu Z. w Kossowie. Katechizm księdza Putjatyckiego kosztuje kop. 7 $\frac{1}{2}$.

Panu F. w Liwince. Deseń na dywan t. j. szlak i środek kosztować może od rs. 1 do rs. 2.

Pani Karolinie U. w Stawiszczach. Przyjaciel Dzieci ozdobnie oprawny kosztuje rs. 4; koronkowe tasiemeczki kosztują od kop. sr. 5 do 25 łokieć. Tasiemeczek wełnianych czarnych do roboty koronkowej nie masz zupełnie oprócz znanych tylko sutaszów.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie wizytowe. Suknia z jedwabnego fijołkowego repsu przybrana plisowaniem i falbanką przytwierdzoną guziczkami, dopełniona jest fijołkowem aksamitnem vêtement, zdobnem plisowaniem i kokardami z jedwabnego repsu, złożonem z tuniki i stanika z rękawami jedwabnemi, i baskiną formą szosse od fraka.

Tunika ma gładki bryt przedni, oszyty plisowaniem i boczne bryty złożone w poprzeczne fałdy u dołu dopełnione gładkiemi trójkątnemi kawałkami i schodzące się z sobą pod długą baskiną z tyłu. Przyszycie trójkątów odznaczone plisowaniem, które otacza ich brzegi dolne i tylne. Szosse oszyte plisowaniem, otwarte w połowie długości i złączone kokardami, ma dodane długie klapy odznaczające kieszonki. Rękawy mają gładkie mankiety oszyte plisowaniem, z odznaczonem zapięciem na guziki. Kapelusz formą toczka z aksamitu i repsu jedwabnego, koloru sukni, przybrany piórami i chińskiemi różami.

Fig. 2. Ubranie spacerowe z paletotem. Suknia formą princesse z materyi faille koloru zielonego. Paletot pokryty czarnym jedwabnym repsem, obłożony skunksami, ma przy kieszeniach i wykładach dodaną wypustkę z grubym sznurem; guziki szmuklerskie. Mufka skunksowa. Kapelusz filcowy ciemno zielony przybrany takimż aksamitem, materyą faille i różami; końce czarne tiulowe.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Февраля 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 7.

(Dokończenie).

Podpinane, tylne części krają się razem z przodami, w sposób na ryc. 29 wskazany, podcięcie górne zaczyna się od szwa bocznego, mającego 36 cent. długości; dokładnej miary podać nie podobno bo to zależy od podpięcia którem kieruje gust i wprawna ręka. Dolne brzegi są przy obydwóch częściach proste i mają 135 cent. szerokości. Frendzla kwaścikowa 8 cent. szeroka służy do szycia, a grube, jedwabne sznury z kwastami, do podpięcia vêtement z jednego boku.



N. 2. Stanik z ranwersem do sukni ryc. 4.

N. 30. Ubranie balowe ze stanikiem układanym w fałdy. Krój stanika jak do ryc. 12—13 w N. 1 Tygodnika.

Balowa suknia z białego klarownego tiulu, przybrana jest falbankami plisowanemi, na które tiul składa się podwójnie, a fałdy mają 2 cent. szerokości. Nad i pomiędzy falbankami plisowanemi, dane jest upięcie z szerokich lekko przyfałdowanych z gazy adamaszkowej, których końce z tyłu przewiązane są na kokardę. Wycięty, plisowany stanik i krótkie rękawki są z gazy, a szmizetka ułożona w poprzeczne fałdy, oszyta plisowaniem, jest z tiulu. Na pasek atłasowy zachodzi upięcie z gazy, kokarda i końce z boku są z wstążki na dwie strony atłasowej.



N. 1. Suknia z muślinu, batystu lub t. p. dla młodej panienki.



N. 4. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 2—3. N. 5. Suknia princesse wycięta w carré z koronkową szarfą „Almée".

Opis do N. 8.

N. 1. Suknia z muślinu, lino lub batystu, dla niedorosłej panienki.

Szersze i węższe plisowane falbanki stanowią garnirunek spódnicy, fartuszkowej tuniki i stanika z baskiną. W pasie przewiązana szarfa z szerokiej, kolorowej wstążki; tej ostatniej można użyć do podpięcia i przybrania tuniki, a natomiast na wązkiej, przepasanej wstążce, zawiesić z boku kieszonkę.

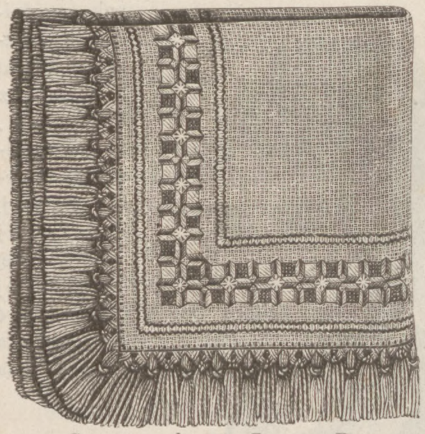


N. 3. Stanik z podwójnym kołnierzem do sukni ryc. 4.

N. 2—4. Ubranie na wizyty wieczorne, do teatru lub t. p. Krój stanika jak do ryc. 1 w N. 1 Tygodnika.

Ryc. 4 przedstawia w całości suknię z faille srebrno-popielatego koloru, której bryt przedni i boczne kliny są nakształt tuniki udrapowane, a prosty, z krótkim trenem, bryt tylny, w górze w dwie głębokie kontrafałdy założony spływa zręcznie do dołu. Draperyę z przodu sukni układa się z dwóch skośnych kawałków materyi, mających w środku 45—50, a z brzegów 60 — 65 cent. szerokości, które zakłada ją się w końcach w 3 fałdy i tym sposobem szerokość cała jest zrównaną. długość zaś odpowiadać powinna rozmiarowi brytów bocznych i przedniego. Części upięcia powinny cokolwiek zachodzić jedna na drugą, a

w górze być przyszyte do paska. Pod upięcie można nie dawać materyi tylko przód i kliny przykroić z muślinu, a materyę dać od dołu do ubrania; boki zeszyć jak zwykle z brytem tylnym. Do przybrania sukni służy plisowanie z materyi i plisy z aksamitu, tego co suknia koloru, albo



N. 7. Serweta z kanwy Jawa. Patrz ryc. 8.

szerokie torsady szmuklerskie. Stanik kirasowy ma plecki złożone z kilku części; na dwóch z nich materya ułożona jest w 3 podłużne pliski, w samym zaś środku od dołu na pleckach, dodany garnirunek wachlarzowy.

Szarfy 20 cent. szerokie, u dołu frendzlą oszyte mogą być z aksamitu podszytego materyą, albo z materyi złożonej podwójnie.



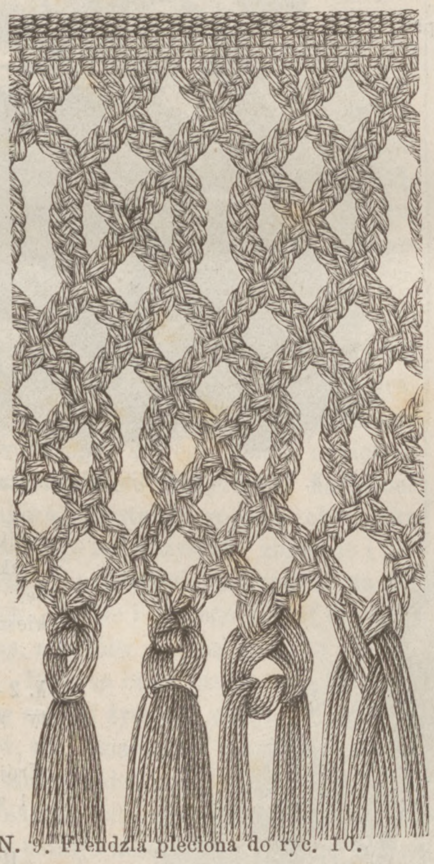
N. 6. Wzór siatki gipiurowej na kapy, serwety, firanki lub t. p.

Na ryc. 2 podajemy stanik z kołnierzem długo wykładanym i rękawami za łokieć, przybrany plisowaniem.

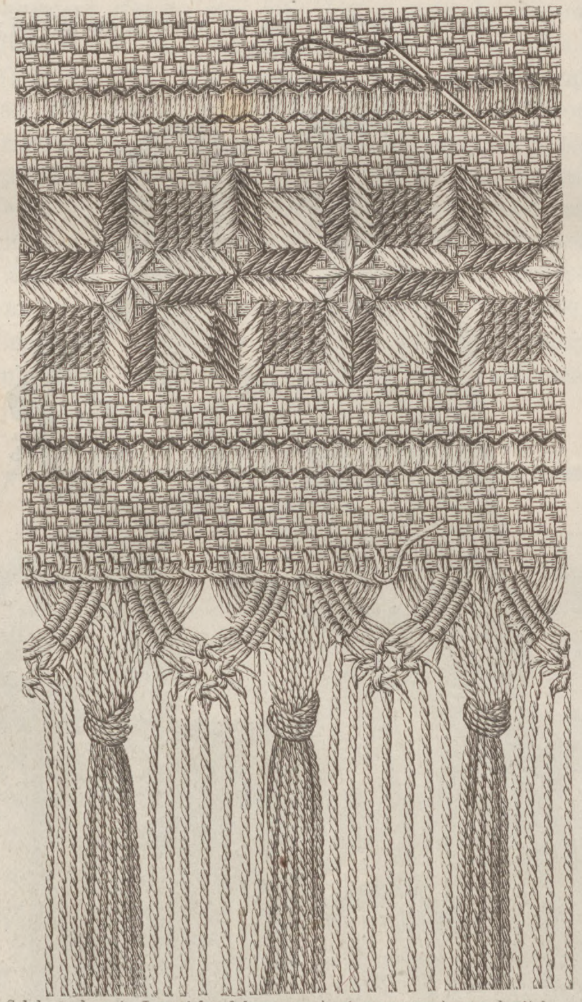
Na ryc. 3 stanik z podłużnym wykrojem przy kołnierzowym garnirunku i przy rękawach ma podszycie z materyi odmiennego koloru, z której także powinny być dane plisy przy spódnicy.

N. 5. Suknia formą princesse wycięta w carré przybrana koronkową szarfą „*Almée*". Krój jak do ryc. 34—35 w N. 6.

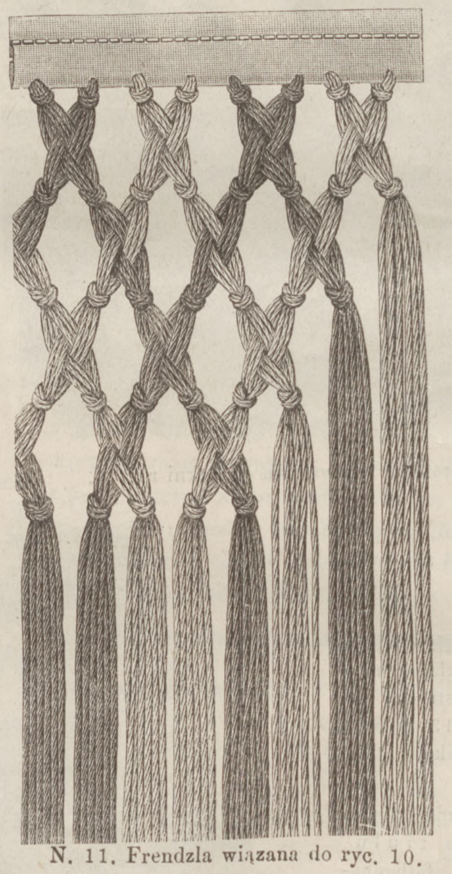
Na sukni jedwabnej jasnego koloru, przewiązana jest szarfa *Almée* czyli szalik biały koronkowy, 60—70 cent. szeroki a 300 cent. długi, którego końce przerzucone z tyłu, mogą być przepięte kokardą albo kwiatami. Berta i krótkie rękawki są z bufowanego tiulu i koronki. Plisowany garnirunek może być oszyty koronką, albo przedzielony koronkową falbaną. Górne plisowanie przyozdobione jest wstążką 4 cent. szeroką, w równych odstępach przepinaną różami.



N. 9. Frendzla pleciona do ryc. 10.



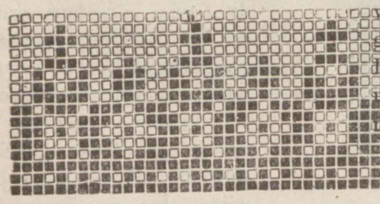
N. 8. Szlak na kanwie Jawa i frendzla macramé wiązana z wysiepanych nitek.



N. 11. Frendzla wiązana do ryc. 10.

N. 6. Wzór siatki gipiurowej na kapy, firanki albo na kołnierzyk marynarski.

Na kapy albo serwetki wielkość dziurek i grubość nici powinna być taka jak na próbce; na firanki można dobrać nici i wałeczek grubszy. Deseń ten użyć także można na wstawki lub falbany siatkowe, które trzeba zarówno jak i kołnierzyki robić z nici cieńszych na cieńszym wałeczku. Obwodzenie kwadratów i gwiazd daje się nićmi grubszemi; do falban brzegi kwadratów dolnych trzeba odziergać i wyciąć w zęby.



N. 12. Deseń szlaku do ręcznika ryc. 16.



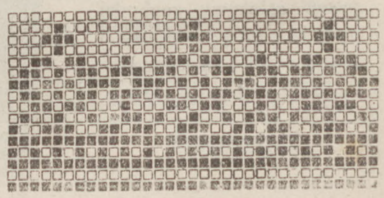
N. 10. Ręcznik z kolorowem wyszyciem. Patrz ryc. 11—13.

N. 7—8. Serweta wyszyta na kanwie jawa, z frendzlą macramé wiązaną z wysiepanej kanwy.

Materyał: kwadrat kanwy białej lub kolorowej, trzymający 100 cent., kordonkowa bawełna biała i écru N. 20. Do potrzebnej wielkości serwety, trzeba w koło na frendzlę siepaną dodać potrzebną ilość kanwy, pamiętając że przez zadziergiwanie nitki skracają się o 3 — 4 centymetrów. Tak szlak jak i frendzlę podajemy w naturalnej wielkości na próbce N. 8. Do roboty użyte są dwa kolory; np. na tle białem biały i niewarowy, karmazynowy i czarny lub t. p.. na tle żółtawem lub niewarowem bronzowy i złoty, niebieski i kukurydzowy. Przy wązkim szlaczku z brzegów, wyciąga się dwie środkowe nitki kanwy, ząbki zaś jednakowe z prawej i lewej strony, robione są dwoma rzędami tam i napowrót, jak to wskazujemy na próbce. Po wysiepaniu nitek na frendzl, brzeg kanwy dla zamocowania jest rzadko odzierzgany. Do obrobienia frendzli trzeba umiejętności i wprawy w tego rodzaju robotę, dla ułatwienia podajemy jej opis. Na każdy z potrójnych, górnych rzędów zadzierzgień sznureczkowych, potrzeba 7 podwójnych nitek kanwy; gdy zaczynamy zadzierzgiwanie od ręki lewej do prawej, 2 podwójne nitki pozostawiamy luźno od strony lewej, 3-cia podwójna służy za wątek, koło którego 4-ma dalszemi nitkami podw. zawiązują się podwójnie zadzierzgnięcia. Dalsze dwa rzędy od lewej ręki, odrabiają się kolejno, w taki sam sposób 4 ma nitkami na 2 pozostawionych poprzednio nitkach; następną grupę węzłów zadzierguje się od prawej do lewej ręki, dalszemi siedmioma podw. nitka-

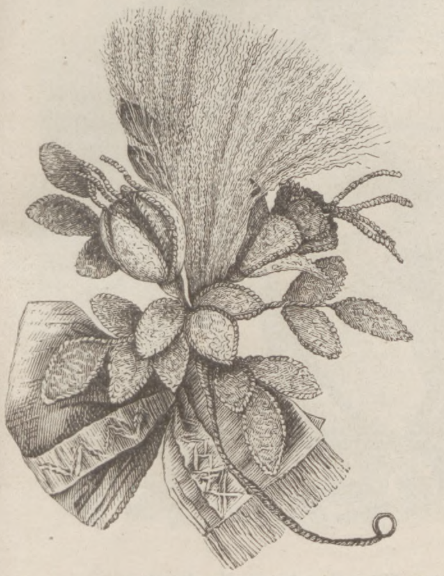


N. 14. Serweta haftowana na płótnie ściegiem płaskim i jednakowym na dwie strony, zdobna koronką.



N. 13. Deseń szlaczku do ręcznika ryc. 10.

mi. Pomiędzy tą a następną grupą pozostawia się luźno jedną nitkę podwójną. Sześć podwójnych nitek około których zadziergiwane były (zwrócone do siebie) rzędy sznureczkowe, złączone są z sobą 4-ma zwykłemi węzłami, jak to widzimy na ryc. 8. Pozostałe końce nitek są po dwie mocno skręcone i u dołu związane supełkiem; do skręcania rozdziela się zwykle nitki podwójne. Pozostałe 8 skręconych nitek pomiędzy figurami łączą się węzłem na kwast.



N. 15. Gałązka kwiatów srebrnych i złotych.

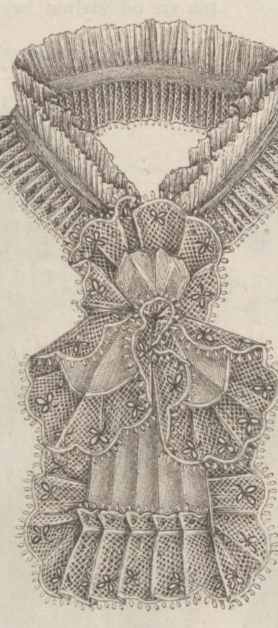
N. 9. Pleciona frendzla do ręczników, serwet i t. p.

Podobną frendzlę odrobić można z płótna ciętego podłużnie, nicianej kanwy jawa, lub z materyałów wyrabianych na ręczniki haftowane. Model próbki był siepany z kanwy jawa, której podwójnie 4-ry nitki plecione były jak warkocze i układane w deseń. Wszędzie na złączeniu dwóch plecionek, 8 złączonych nitek krzyżuje się i splata razem jak 4-ry, a następnie znów rozdziela na dwa promienie. Łatwy układ deseniu dokładnie wskazany jest na próbce. Przy zakończeniu nitki dwóch promieni przeplatają się razem, dzielą na dwie równe części, przewiązują na węzeł, a następnie poniżej takowego przewiązują mocno jedną nitką. Przy frendzli płóciennej w górze powinien być pozostawiony brzeg fabryczny, ażeby frendzle bez podkładania przyszyć można było.

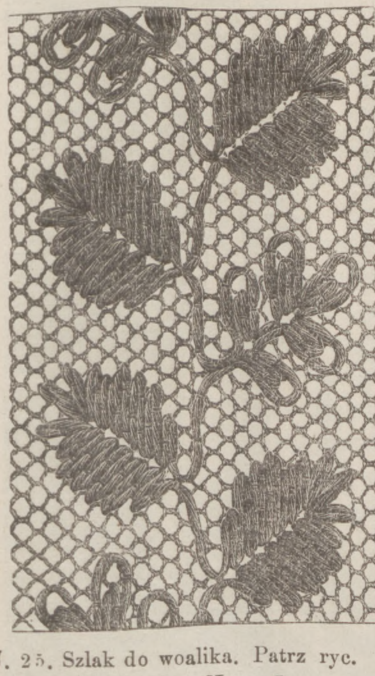
N. 10—13. Ręcznik z kolorowem wyszyciem.

W N. 5 Tygodnika podaliśmy wzory ręczników suto ozdobionych różnego rodzaju wyszyciem lub haftem kolorowym. Dziś podajemy ręcznik płócienny wyszyty ściegiem krzyżowym, bawełną niebieską i ponsową; szlaczek pierwszy umieszczony 2 cent. nad obrąbkiem, odrabia się podług deseniu podanego na arkuszu z krojami, do N. 5 — 6 Tygodnika mód. Nad szlaczkiem pozostawia się 8 — 10 cent. na litery, nad któremi drugi szlaczek odrobić podług próbki N. 12 lub 13.

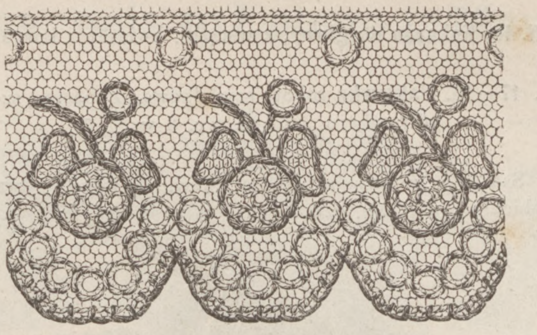
Frendzlę dwukolorową przyrabia się do obrąbka ręcznika z 6-ciu nitek bawełny N. 5; następnie nitki dwóch promieni rozdziela się równo, przeplata parę razy, a potem wiąże oddzielnie na supeł. Nader łatwy sposób plecenia i wiązania dokładnie wskazuje próbka N. 11.



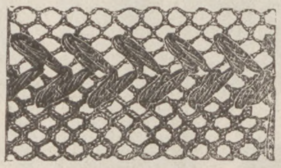
N. 20. Kreza z żabotem z muślinu i koronki. Patrz ryc. 21.



N. 25. Szlak do woalika. Patrz ryc. 24 i ryc. 22 w N-rze 7.



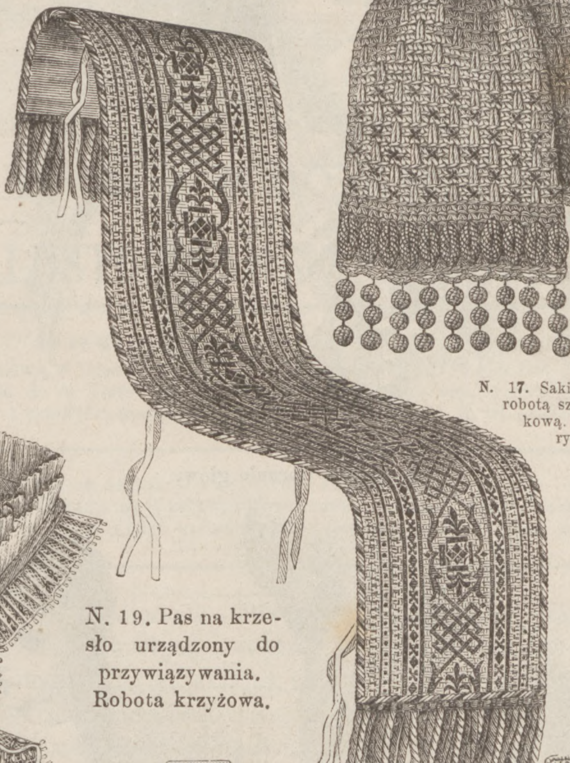
N. 21. Koronka wywodzona na tiulu kolorową filozelą lub jedwabiem. Patrz ryc. 20.



N. 24. Brzeżek do woalika



N. 17. Sakiewka robotą szydełkową. Patrz ryc. 18.

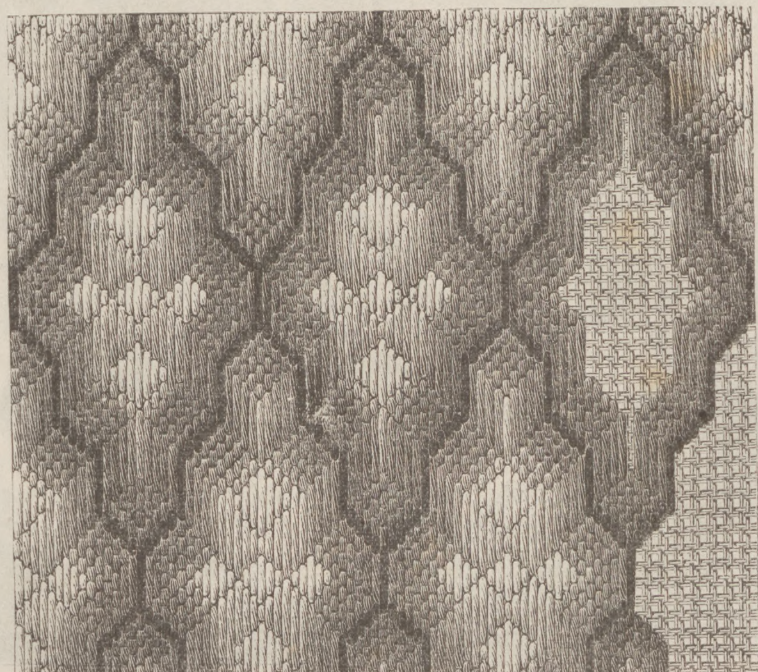


N. 19. Pas na krzesło urządzony do przywiązywania. Robota krzyżowa.



N. 18. Wykonanie listka szydełkowego do ryc. 17.

N. 23. Kołnierzyk marynarski dla dzieci. Siatka gipiurowa.



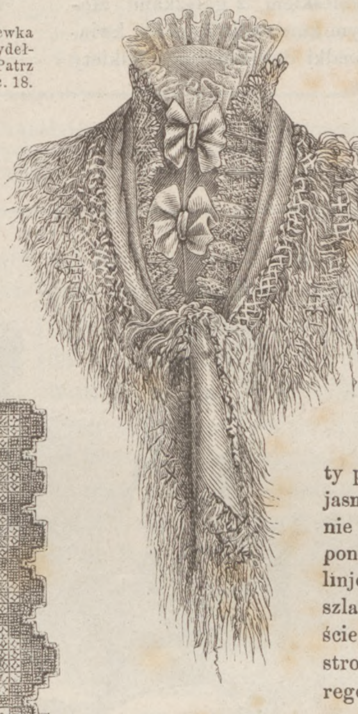
N. 27. Robota krzyżowa do ryc. 7 w N-rze 7.

N. 14. Serweta haftowana na płótnie, ścieg płaski i podwójny. Deseń N. 20 w N. 7 Tygodnika mód.

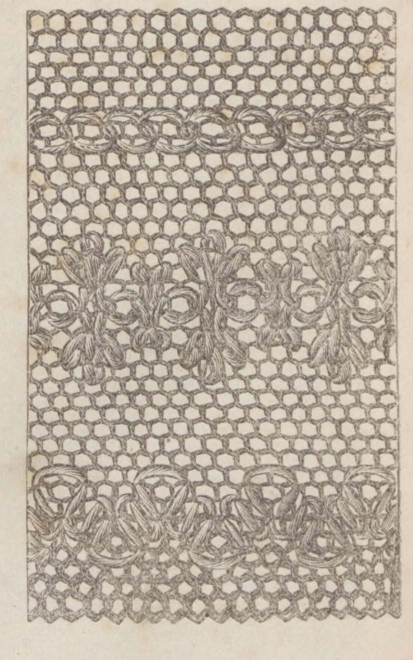
Materyał: płótno białe dość rzadkie, właściwe do haftu, perkal ciemno-szafirowy, bawełna od haftu biała niekręcona, dość gruba, bawełna turecka ponsowa i szafirowa N. 20, pela purpurowego koloru, dwa matowe cienie żółtawo zielone, jedwab cienki czarny. Ryc. 20 w N. 7 przedstawia w naturalnej wielkości jedną gwiazdę pasa środkowego oraz wązkie szlaczki, które podane są u góry i u dołu. Gwiazdy haftuje się ściegiem płaskim, pelą koloru purpurowego i dwoma cieniami żółtawo-zielonemi. Brzegi figur obwiedzione są cienkim, czarnym jedwabiem, którym także robi się linie łączące figury. Małe pojedyńcze rzuty przy gwiazdach mają środki jasno-zielonkowate a obwiedzenie i brzegi odrobione bawełną ponsową. Wszędzie pojedyncze linje i gałązki, równie jak i szlak z brzegów odrabiane są ściegiem jednakowym na dwie strony czyli podwójnym, którego próbki i opis podawaliśmy w roku zeszłym. Szlaczki po brzegach robione są naprzemian bawełną ponsową, białą i szafirową. Środek serwety robi się na płótnie białem a podszywa perkalem ciemno-szafirowym który w koło wystaje na 9 cent. i służy za powleczenie do wstawki 3 $^1/_2$ cent. szerokiej i na obrąb do którego przyszywa się w koło koronkę. Ta ostatnia może być robotą warsztacikową, z siatki gipiurowej, irlandzka albo robiona szydełkiem. Model serwetki przeznaczony na mały, podłużny stoliczek, miał w części środkowej (oprócz koronek) 50 cent. długości a 27 szerokości.



N. 16. Kokarda z wstążki, kwiatów i koronki, do przybrania głowy.



N. 22. Chusteczka ze szmizetką.



N. 26. Wywodzenie na tiulu do krawatki ryc. 21 w N-rze 7.



N. 29. Czepeczek dla matki panny młodej.

N. 15. Gałązka kwiatów złotych i srebrn., do balowego ubrania.

Ryc. 15 przedstawia trochę zmniejszoną gałązkę kwiatów, odrobionych z bajorku złotego i srebrnego, na podłożeniu matowo-różowem i niebieskiem, z gałązkami złotemi i srebrnemi. W bieżącym karnawale z takich kwiatów układają dyademy i girlandki do głowy oraz bukiety i gałązki do przybrania sukien.

N. 16. Kokarda do głowy, z wstążki, kwiatów i koronki.

N. 17--18. Sakiewka robotą szydełkową. Zobaczyć szczegóły na ryc. 18 i na ryc. 3 w N. 7.

Sakiewka z karmazynowego, kordonkowego jedwabiu robiona szydełkiem, ozdobiona jest wyszytemi krzyżykami i szlaczkiem z oddzielnie robionych figur, w których jak w pasmanteryi szydełkowej, lewą stronę obraca się do wierzchu. Robotę zaczyna się od spojonych w kółko 100 oczek łańcuszka, które obrabia się 10 razy o. ścisłemi, potem przewraca się zrobiony kawałek na lewą stronę, i to stanowić będzie szlak na którym następnie przyczepia się oddzielnie wykonane liście.

(Dok. nast.)



N. 28. Ślubne ubranie głowy.



N. 30. Ubranie głowy dla druchny.



N. 31 — 34. Ubranie druchen i panny młodej.

N. 31. Suknia z materyi gazy lub batystu. N. 32—33. Suknie z tarlatanu. N. 33. Ślubne ubranie.